

**HANNA KRALL**

**OKNA**

"Hej, jesteś tam? Jesteś, to dobrze. A ja? No - ja. Czy jeszcze jestem? Bardzo miło na skarpie, tu, u nas. Lato się zaczęło, a powietrze już miękkie i szczelnie przylega do skóry ciepłym wieczorem..."

To ona. Ma zwyczaj zapisywać różne rzeczy, na przykład: powietrze jest miękkie, rano wisiały na skarpie płaty mgły, teraz siedzi na ganku i nie czeka.

Ona notuje dla kogoś za dwadzieścia albo za trzydzieści lat. Nie wie dokładnie, jaki to czas, może wszystkie, jakie będą. Na wszelki wypadek co kilka stron sprawdza swoją obecność ("a ja? czy jeszcze jestem?"). Ona sądzi, że ktoś, kto wtedy to przeczyta, będzie ciekaw jej nieczekania.

Ma manię dziękowania za wszystko. Budzi się wcześniej i widzi niebo. Wtedy dziękuję za niebo, za to, że jest wczesny ranek i że się obudziła. Potem, jeśli się obudziła na wsi i zobaczyła na zboczu płaty mgły, zaczepione o gałęzie jałowców, nabłyszczone słońcem - dziękuję za skarpe.

Ktoś (Vonnegut, oczywiście), w jakiejś książce, posyłał do Stwórcy komunikaty zewsząd, gdziekolwiek się znajdował. Zawiadamiał na przykład, że toaleta męska jest czysta jak łąka, a dywan w holu granatowy. Czy wiesz, co to znaczy granatowy? - pytał Stwórcę. Otóż ona nie zawiadamia o skarpie, natomiast dziękuję, a ma zwyczaj robić to skrupulatnie i pełnymi zdaniami. Słuchaj, mówi. Dziękuję Ci za skarpe. Po czym dodaje: gdybyś uznał za stosowne, zachowaj ją jeszcze przez chwilę. Po czym się mityguje - bo to już wygląda na prośbę, a przyrzekła sobie nie mieć prośb. Ludzie są bezwstydni. Bez przerwy czegoś chcą, bez przerwy zwracają Mu głowę jakimiś sprawami, w najlepszym razie proponując coś w zamian. Jej znajoma, Irena Szymańska, powiedziała podczas wojny - Ja Ci policzę do miliona, a ty mi skończ wojnę, chcesz? (Mogła to obiecać z łatwością, bo nic, poza liczeniem do miliona, od niej nie zależało). I zaczęła liczyć. I On przystał na umowę i wojnę zakończył. Irena dopiero zbliżała się do ośmiuset tysięcy, ale postąpiła uczciwie. Wojna była skończona, a ona liczyła nadal. Miała wyrzuty sumienia, że obiecała za mało i zamierzała liczyć do miliarda, ale wyperswadowano jej.

Wracając do bohaterki.

W przeciwieństwie do proszących bez wstydu ma poczucie przyzwoitości, nie chce za wiele i ogranicza się do podziękowań. Niestety, jest w tym spora obłuda. Mówiąc "Słuchaj, gdybyś uznał za stosowne..." ma nadzieję, że jej skromność zostanie zauważona. Można by ją więc czymś nagrodzić... Powiedzmy talentem. Mając talent potrafiłaby zapisać skarpe. Nie jest to w końcu jej prywatna sprawa, mówi tonem perswazji. Słuchaj, mówi, po co innego jestem. A jeśli zgodzisz się, że to ważne, nie będzie Ci chyba wszystko jedno jak zapiszę, dobrze czy źle. No, to już wiesz, czym ewentualnie mógłbyś mnie nagrodzić.

Siedzi na ganku. Ganek ma ode mnie, w prezencie. Własny ganek dałam jej, nieduży, cztery i pół na metr, w domku typu Krokus, ale może całkiem wygodnie przysiąść. Własne "słuchaj, dziękuję Ci za skarpe..." dałam jej i dorzuciłam bakłażany, które trzeba by podlewać systematycznie. I to wszystko co dostanie ode mnie.

Resztę trzeba wymyśleć.

Wymyślę jej włosy, oczy, sny, ludzi i trochę przedmiotów. (Ach, jak już zależy ode mnie. Zechcę, to schudnie, zechcę, to przyśni jej się strach. Ode mnie zależy, czy otrzyma talent i czy naprawdę będzie lubiła to, co robi się w łóżku. Tak, ja też się uzależnię od niej, ale to ja jednak zamknę ją w książce, jak za szafą, a przez okładkę przecież mi się nie wymknie).

Jeśli chodzi o przedmioty, przydzielę jej - szafę, wykonaną przez pana Stacha, męża pani Stachowej, dozorkczyni w ich przedwojennym domu;

tkaniny wykonane przez nią, własnoręcznie;

czerwone talerze;

aparat fotograficzny marki Nikon.

Jeśli o ludzi chodzi, będą to - Ojciec Pauli

(ur. 1905 r. w Działoszycach; syn studniarza z Czapel; w 1930 r. ożenił się z córką właściciela tartaku; komunista, uczestnik wojny domowej w Hiszpanii i francuskiego Ruchu Oporu; deportowany do Polski w 1946 r. pracował w organach administracji państwowej; w 1956 r. przeszedł na emeryturę; w 1958 r. zdał maturę eksternistyczną; obecnie w Warszawie).

Matka Pauli

(ur. 1910 r. w Rembertowie; mimo sprzeciwu ojca poślubiła działacza komunistycznego; ukończyła szkołę kosmetyczną firmy "Cedibe", po wyjeździe męża do Hiszpanii samotnie wychowywała córkę; w lipcu 1942 r. uciekła wraz z córką, siostrą i jej dzieckiem z kolumny prowadzonej z Rembertowa do getta w Falenicy; ukrywały się w Międzyzlesiu; po wydaniu przez właścicielkę willi siostry i jej dziecka, mieszkała u matki bohaterki książki, dawnej klientki gabinetu kosmetycznego; popadła w obłęd; zginęła w sierpniu 1944 r. w szpitalu im. Jana Bożego w Warszawie).

Paula

(ur. 1934 r. w Rembertowie koło Warszawy; od 1942 r. do końca wojny przebywała w mieszkaniu bohaterki książki; studiowała polonistykę; od trzeciego roku studiów do wyjazdu z Polski związana z przyjacielem bohaterki książki, Januszem; wyjechała w 1958 r.; obecnie w Johannesburgu, RPA).

Janusz

(ur. 1933 r. w Warszawie; syn urzędnika bankowego, zaprzyjaźnionego z rodzicami bohaterki książki - stąd i ich przyjaźń od najwcześniejszego dzieciństwa; w latach studenckich związany z Paulą; w rok po jej wyjeździe z Polski, w 1959 r., ożenił się z bohaterką książki; pracował w czasopismach "Las Polski", "Łowiec Polski" i "Koń"; instruktor Polskiego Związku Narciarskiego; w 1981 r. założył prywatną farbiarnię skór; hodowca bullterierów i działacz Związku Kynologicznego; zam. w Warszawie).

Julia

(córka bohaterki książki i Janusza, ur. 1960 r. w Warszawie; studiowała mechanikę precyzyjną; w 1982 r. poznała Pawła, działacza "Solidarności", ukrywającego się u jej matki; łączniczka; Pawła; w 1983 r. urodziła syna Jakuba; obecnie w Arezzo, Włochy).

Piotr

(młody krytyk sztuki, ur. 1951 r. w Warszawie; syn farmaceuty; studia na historii sztuki i socjologii przerwał skutek choroby serca; w latach 1978-79 zaprzyjaźniony z bohaterką książki; przeszedł w Szwecji operację aorty głównej, sfinansowaną przez malarkę Teresę P., ur. 1935 r. w Krakowie, z którą się następnie ożenił; tłumaczył Martina Bubera; zafascynowany przez wiele lat judaizmem, a później buddyzmem, powrócił do Kościoła po rekolekcjach w klasztorze benedyktynów w Tyńcu; autor między innymi szkiców "Metanoja" i "Kamienie nieba", publikuje w "Znaku" i "Krytyce"; zam. w Zalesiu Górnym).

A.

(ur. 1930 r. w Wilnie; syn profesora uniwersytetu im. Jana Kazimierza, znanego geografą i podróżnikiem; autor licznych, cenionych prac z zakresu medycyny sądowej - identyfikacja ofiary, z antropologii - przystosowanie radzieckiej metody rekonstruowania twarzy z czaszek do warunków polskich; w 1982 r. poznał bohaterkę książki; profesor Akademii Medycznej, konsultant Zakładu Antropologii UW; "visiting profesor" zagranicznych uczelni, współpracownik "Yearbook of Physical Anthropology", zam. w Warszawie).

Paweł

(ur. 1955 r. w Konieczmostach; syn chłoporobotnika; ukończył zasadniczą szkołę zawodową i pracując w Zakładzie Remontowo-Budowlanym w Radomiu, technikum wieczorowe; od 1976 r. zbierał pieniądze na fundusz KSoSr-u i kolportował "Robotnika"; w sierpniu 1980 r. kierował strajkiem i współorganizował MSkSz Ziemi Radomskiej; od 13 grudnia 1981 r. w podziemiu; w 1982 r. ukrywał się w mieszkaniu bohaterki książki; obecnie przypuszczalnie w prowincji Quebec, Kanada).

Witold K.

(ur. 1935 r. na Pomorzu; wnuk krzewiciela polskości w zaborze pruskim, syn działacza PSL, skazanego po wojnie na dwanaście lat więzienia; ok. 1950 r. poznał ojca Pauli (?); pozbawiony praw ucznia liceum za naruszenie żałoby po śmierci Stalina, zdał maturę jako eksternista; nauczyciel historii; działacz "Solidarności", od 13 grudnia 1981 r. w podziemiu; współpracując z Pawłem poznał bohaterkę książki: zam. w Międzyzlesiu).

#### Dziennikarka

(ur. 1937 r. w pociągu relacji Nowogródek-Białystok; córka nauczyciela; przed wojną posiadaczka biletu wolnej jazdy PKP; obniżony stopień ze sprawowania za próbę zorganizowania koła ZMP w szkole przyklasztornej; profesorów wydziału dziennikarskiego UW zainteresowała jej praca seminaryjna pod tytułem "Bilet wolnej jazdy", w której opisała próbę odzyskania od PKP w PRL biletu przyznanego jej przez PKP sanacyjną; była to próba bezowocna, ale otrzymała dzięki niej przydział pracy do "Życia", a także poznała urzędniczkę PKP i mogła bez kolejki kupować miesięczne bilety z Otrębus, gdzie wynajmowała pokój bez kanalizacji; specjalizowała się w reportażach o zwykłych ludziach, zachwyconych życiem, bo udało im się odłożyć 80 zł na książeczkę albo zdobyć nogi wieprzowe; w roku 1971 na przystanku przy ulicy Chełmskiej, gdzie miała swoje M-2, niosąc rolki papieru toaletowego spotkała łysawego faceta z identycznym wieńcem rolek na szyi; wszczęła z nim rozmowę o szczęściu, a kiedy umieściła ją w "Życiu", facet zadzwonił z pretensją, że wyprzedziła go, bo zamierzał zamieścić wywiadzik z nią w "Polityce": był tam felietonistą i zastępcą redaktora naczelnego; pracując w "Polityce" poznała bohaterkę książki; w roku 1981, po odejściu z "Polityki", wszczęła starania o zmianę w dowodzie miejsca urodzenia z "ZSRR" na "Białystok", dowodziła bowiem, że urodziła się z całą pewnością na lewo od miejsca, gdzie dziś przebiega granica państwa; reportażu nie chciały umieścić nawet gazety opozycyjne, zarzucając mu nacjonalizm; na pierwszej w stanie wojennym wycieczce Sport-turistu nie wróciła, wraz z córką, na autobus w Londynie; po roku wróciła, mimo że autobusy w zajezdni na Chełmskiej nie są wyłączane w zimie i spalona ropa śmierdzi w jej M-2 od grudnia do połowy kwietnia; zam. w Warszawie).

I tyle, jeśli chodzi o osoby.

Jeśli chodzi o powierzchowność - jest typem subnordycznym - "Połączenie nordyka z laponoidem", wyjaśnił kompetentnie profesor A. podczas ich pierwszego spotkania. Zaraz po pytaniu, gdzie zdążyła się tak opalić tego lata. Włosy jasne, oczy ciemne - "Dosyć częsta u subnordyków dysharmonia pigmentacyjna" (profesor A., jak wyżej). Wzrost - 158 cm, za krótkie nogi i za szeroki tyłek. Niech się odchudza. Niech stosuje wyszukane diety, najpierw punktową, później kosmiczną, by wreszcie przejść na twardy grunt psychotroniki i po paru głębokich wdechach na przepoń, bacznie obserwując powietrze utleniające pięty i mózg, powtórzyć

trzykrotnie: "Przez cudowną moc mojej nadświadomości i głęboką mądrość mojego wyższego Ja rozkazuję, by moje ciało już w tym momencie zaczęło tracić wagę..."

(Ach, jak ona zależy ode mnie...)

Jeśli chodzi o zapiski.

"Hej, jesteś tam? Jesteś, to dobrze. A ja? no, ja. Czy jeszcze jestem? Pisząc Tutaj albo Tam, mam czas na myśli, nie miejsce. Czy w twoim czasie, u ciebie, jeszcze jestem. Basia Sadowska mówi wprawdzie, że między tutaj i tam nie ma nic, nie ma nawet szybki, ale ona o czym innym..."

A Narew? Jest jeszcze tam, u ciebie?

A skarpa?

Bardzo miło na skarpie tu, u nas. Lato się zaczęło, a powietrze już miękkie i szczerze przylega do skóry ciepłym wieczorem. Barchatnoje, mówią o takim powietrzu na Kaukazie; jak aksamit. Ten, który nie zdążył sięgnąć po proch, zrozumiałby bez słownika. Niedawno ktoś wykopał jego testament: płaskie, tekturowe krążki z prochem, z instrukcją - "wskrywat' nieposredstwiennie pieried strielboj". Obok leżała spora część rewolweru, co by znaczyło, że powinna jeszcze leżeć i ręka, która go trzymała, ewentualnie kość biodrowa, gdyby rewolwer spoczywał w kaburze. Rewolwer, w przeciwieństwie do krążków, był niemiecki, więc kość biodrowa też byłaby niemiecka. Nawet szukaliśmy. Nie sposób było po wojnie pozbierać wszystkiego i różne resztki obu armii znajdujemy do dzisiaj. Później wyciągamy ze studni schłodzone białe wino, patrzymy na Narew i zastanawiamy się, czy oni zdążyli to zobaczyć. Nie widzieli, nie, mówimy ze współczuciem, zimą nic nie było zielone, ani skarpa, ani liście łopianu w dole, ani zakole po drugiej stronie rzeki - nic.

Opuszczamy następną butelkę, a mówiąc "czy oni..." myślimy o obu, o tym, co nie otworzył paczki pieried strielboj i co nie wystrzelił z niemieckiego rewolweru. Nie niepokoją nas, nie śnią nam się, lubimy myśleć, że są nam przychylni.

Hej!

Czy tam, u ciebie, jest jeszcze nasza skarpa?"

Drażni mnie jej wojenna obsesja. Jak gdyby wszystko ważne zdarzało się tylko wtedy. Nawet kiedy przyznaje, że w zwykłych czasach też się rzeczy istotne trafiają, mówi to z poczuciem wyższości.

Ja - przeciwnie. Zamierzam napisać książkę, w której nie będzie o wojnie, najlepiej, gdyby to słowo w ogóle w niej nie padło. Oraz parę innych słów, na przykład "Żyd". Napisać książkę bez słów "Polak", "Niemiec", "Żyd" i "wojna", to byłoby nie najgorsze. ("Polak", jako odróżnienie od "Żyda"? Nie jest to trafne, tylko co w takim razie? Słowianin? Aryjczyk? Ktoś zaproponował mi tuziemca. Tuziemcy... Może i niezłe). Barbara Sadowska postanowiła spisać słowa, których nie

wolno używać w jej obecności. "Dziecko", "trzynasty", "matura", "maj"... - Nie mówcie przy mnie o dzieciach - mówi Barbara Sadowska, a któregoś dnia okazało się, że i o wnukach nie wolno przy niej mówić i to już zaczęło być kłopotliwe. - Przysłaś mi powiedzieć, że nie będę miała wnuka? - uśmiechnęła się na pożegnanie do mojej bohaterki. ("Nie mówcie przy mnie o maju o dzieciach o maturach o bohaterstwie o przyszłości nie mówcie przy mnie o obumarłym ziarnie, które wyda owoc...").

"W twoim czasie, u ciebie, masz więcej lat niż moja córka dzisiaj, moja córka jest starsza od dzisiejszej mnie, a ja mam - ile? - niech będzie, że siedemdziesiąt. (Ja przecież nie wiem, jaki to czas, możliwe, że wszystkie czasy, które będą, tylko trudno to sobie wyobrazić i trzeba się umówić na jakikolwiek). Siedemdziesiąt? No to powinnam rozpocząć przygotowania rzeczowe i spokojne. Niezbędne porządki, wyjaśnienie - komu pianino, a komu szafę i lampę. Jak moja matka, która zawsze wiedziała, że jest przejazdem i nie rozgościła się na dobre. Mam zamiar zachować jej rzeczowość, tak niekłopotliwą dla otoczenia.

No, dobrze, siedemdziesiąt lat. Czy nie przypominam buriackiej bogini, tak grubej, że podbródek opadał jej na piersi, piersi opadały na brzuch, a brzuch opadał na kolana...?

Ładna historia. Dookoła szaleje wolność - bo u ciebie jest już wolność, nieprawdaż? - a ja z brzuchem na kolanach.

Czytałam gdzieś, że trzeba zawczasu przeżyć to, czego boimy się najbardziej. Już dziś trzeba ćwiczyć siedemdziesięcioletnie ręce i siedemdziesięcioletnie nieczekanie.

Siedzę na ganku.

Nie podnoszę głowy, kiedy nagle przycichnie samochód na drodze. Nie czekam na poniedziałek ani na sobotę. Moim wzorcem osobowym staje się moja otyła sąsiadka, której stary dres zaczyna wydzielać podejrzany zapaszek, a życie wypełnione jest pracą.

Bakłazanom przydałaby się woda, samochód pojechał dalej.

Hej, słyszysz mnie? Czy tam, u ciebie..."

"Jedni żyją, drudzy opisują, przeczytałam gdzieś. Przy czym żyjący dzielą świat - budują, niszczą, walczą, rządzą, a opisujący łączą go. Pojęłam to w Mykenach, tym okropnym zamczysku, po którym snują się duchy morderców i mordowanych, wchodzą we włosy ludziom, w ogóle dają znać o sobie z nieprzyzwoitą natarczywością, byle tylko pobyc jeszcze z nami. Wśród duchów i kamieni, które, niedotknięte, staczają się z głośnym echem w dół, krążą murzyńskie wielodzietne rodziny, maszerują w nogę angielscy skauci i chichoczą kolorowe Japonki. Agamemnon? - wołają, bo drogi do grobowców nie są oznaczone. Ktoś pokazuje drogę do Agamemnona i pyta - Ejgistos? Po czym kłaniają się sobie grzecznie i spiesznie oddalają, każdy w stronę swojego mordercy albo

ofiary. A kto zawiadomił ich o owych imionach? Kto zjednoczył w solidarnym szukaniu? Opisujący.

Ci, na których się czeka, dzielą świat, na czekających i oczekiwanych. Ci, co opisują - łączą go. Jeśli potrafię opowiedzieć niesłuchanie samochodów cichnących na drodze, to zrozumieją mnie wszyscy nie czekający na gankach, czy gdziekolwiek są, i połączą się ze mną we wspólnej, słusznej dumie nieczekania.

Tak, my opisujący, jesteśmy pod każdym względem w porządku.

Hej!

Słuchasz?

Tam, u ciebie... Czy są jeszcze Mykeny?"

Czas terażniejszy tej książki rozpoczyna się w czwartek, trzydziestego pierwszego maja 1984 roku, po ósmej parę minut. Ona idzie podwórkami Muranowa w stronę Leszna, on, imieniem A., idzie obok. Jest prawie pewny, że o tak wczesnej porze żaden z przechodniów, spieszących podwórkami Muranowa, nie jest pracownikiem naukowym Akademii Medycznej, czuje się anonimowy i bezpieczny i za Karmelicką, na wysokości kościoła, decyduje się ją pocałować. Wypada to dość niezręcznie, poza tym A. ma zimne usta. Ma zimne usta - myśli ona przelotnie i z roztargnieniem, bo w prześwicie między blokami zauważa na Świerczewskiego radiowóz. Widok dalszych radiowozów z okna baru Paragraf (sięga do kieszeni zakietu; nie wyjmując aparatu przesuwając dźwigenkę odległości; przysłaniając Olympusa dłonią, szybko podnosi go na wysokość oczu) ponownie napelnia ją niepokojem. - Przynęła mi, że ci dadzą - powtarza A. - Muszą wpuścić trochę normalnej publiczności. Nie jest pewna, czy dobrze skadrowała patrol milicyjny, spacerujący przed sądem, ale nie ryzykuje dalszych zdjęć i chowa Olympusa do kieszeni.

Istotnie, w sekretariacie dają jej seledynowy kartonik z nadrukiem "Sąd Wojewódzki w Warszawie, Karta wstępu, Sala nr 252 Sprawa M. Wysockiego i innych Nr IV 122884". W rubryce "Imię i nazwisko osoby uprawnionej..." urzędniczka, którą A. zna od lat (- Nie, nie, to tylko służbowa znajomość) przepisuje z dowodu jej personalia.

Jak ma na imię? Trzeba by wiedzieć, kiedy się urodziła, bo imiona zależą od czasów. Data jest ważna nie tylko dlatego. Wyjątkowo jest ważne dzisiaj, kiedy się człowiek urodził, a chodzi o to, by nie urodzić się za wcześnie. Należy być tak urodzonym, żeby nijak nie zdążyć na parę rzeczy. Na łyzy podczas pogrzebu Stalina (na naruszenie żałoby po jego śmierci - tak, ale na łyzy w żadnym razie), na słuchanie referatu Chruszczowa, odczytanego na zwołanym pospiesznie zebraniu partyjnym (zwłaszcza nie należy być człowiekiem, który ów referat głośno czytał!), na wypełnienie deklaracji partyjnej podczas euforii Października 56 dobrze jest nie zdążyć - i tak dalej. Konserwatywny intelektualista Marcin Król, podczas przyjęcia w ambasadzie brytyjskiej zwrócił



się do obecnych tam Polaków: Kto z państwa ukończył pięćdziesiąt lat i nigdy nie należał do partii? Otóż w żadnym razie nie należy mieć pięćdziesięciu lat na przyjęciu w ambasadzie brytyjskiej.

Nie mogę zrobić świństwa własnej bohaterce. Ma czterdzieści siedem lat. Powinna mieć wobec tego przedwojenne imię - Maria, Zofia, Barbara... nudno i solennie. Lata pięćdziesiąte przyniosły, jak pamiętamy, Violetę i Mariolę, elegancję chłoporobotników, awansowanych do miasta, co było jednak lepsze od znanego mi imienia Ninel, na cześć wodza rewolucji, czytanego wspak. Lata sześćdziesiąte, Agata, Dorota, Magda, to styl cepeliowsko-rustykalny. Z otwarciem na świat lat siedemdziesiątych pojawiła się na moment Patrycja, ale w osiemdziesiątych wracają dziewiętnastowieczne, narodowe Zofie i Marie - może i nudne trochę, ale jak się właśnie okazało, pewne i trwałe...

Czy istnieją imiona prawdziwe, nie naznaczone epoką? Może te tylko, których sam dźwięk, dawno odłączony od osoby, wyzwala niepokój, już niedokuczliwy, jak ból przytępiony lekarstwem. Takim imieniem prawdziwym był kiedyś dla Pauli Janusz, mimo że chłopca, który je nosił, nie wolno jej było widzieć. A dla Celiny mojej bohaterki, takim imieniem stało się Paula (Paula, Ditta, Marcel, lata trzydzieste, Komintern, imiona walczącego internacjonalizmu...).

Moja bohaterka jest Celiną zatem. Jej matce, która uwielbiała "Dziewczęta z Nowolipek", przypominało to Cechnę, kiedy zaś Paula pojawiła się w ich mieszkaniu i było jasne, że nie może Paulą pozostać, matka zdecydowała szybko, że będzie Polą, też na cześć Gojawiczyńskiej.

Była jeszcze Polą, kiedy ze świata wrócił wreszcie po wojnie jej ojciec.

- Pola? - powtarzał z dezaprobatą, a matka Celiny próbowała tłumaczyć mu, że było to wtedy imię stosowniejsze.

- Rozumie pan - mówiła temu niskiemu, czarnemu, ruchliwemu mężczyźnie, któremu ciągle trzeba było coś tłumaczyć, na przykład dlaczego matki Pauli nie dało się dłużej trzymać schowanej za szafą. - Najgorsze, że ona przestała rozumieć, co się dzieje dookoła nas - ciągnęła matka Celiny.

- Czy wie pan, że któregoś dnia zaczęła śpiewać? Normalnie, na głos, w biały dzień, za tą szafą...

- Ładny miała głos, prawda? - ożywił się nagle ojciec Pauli i matka Celiny na chwilę zamilkła.

- W szpitalu było jej zupełnie dobrze... - zaczęła znowu. - Gdyby nie walki na Starówce... - pomyślała, że skoro ojca Pauli nie było tu podczas powstania, powinna i to wytłumaczyć. - Na terenie szpitala Jana Bożego...

Znowu przerwała, bo ojciec Pauli zaczął nucić. - Hej ja - o hej - ja - z górskich krain dzieckiem jee-stem ja-a... Nie to śpiewała? To lubiła najbardziej, "Księżniczkę Czardasza". W górach była ta kole-ebka ma-a... Nie to? - przerwał i uśmiechnął się do matki Celiny.

- Chyba rzeczywiście - odwzajemniła uśmiech matka Celiny i już nie próbowała ojcu Pauli tłumaczyć niczego więcej.

W czasie terażniejszym tej książki Celina wchodzi na drugie piętro budynku sądów. W połowie korytarza, przed salą 252, stoi tłum, korytarz przegrodzony jest ławami, strażnicy sprawdzają dokumenty i zagląдают do toreb. Celina pokazuje seledynowy kartonik i torbę (malutkiego Olympusa, model M\$a 2, ma w kieszeni) i siada na ławce od strony drzwi; od okien siedzą młodzi, dobrze zbudowani mężczyźni. Togi, kamery, światła, publiczność. Teatr. Z głębi sali idzie do stołu sędziów Barbara Sadowska. Mija ławkę Celiny - z jasnymi, nieruchomymi oczami, z czarnym krzyżem na piersiach, w dżinsowej kurtce. Jej pojawienie się jest pierwszą rzeczą naprawdę w tym teatrze. Zwłaszcza kurtka, dżinsowa, zbyt obszerna. - Pani Sadowska zrezygnowała z występowania jako oskarżyciel posiłkowy - mówi sędzia. Celina postanawia patrzeć na panią Sadowską, jakby ją zobaczyła pierwszy raz. Szczupła kobieta z krótkimi włosami... Założyła kurtkę Grzesia - myśli Celina i postanawia skupić się na sprawie, skoro jest po to, by zapisywać.

...Jedenastego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt trzy Grzegorz Przymyk, uczeń liceum imienia Frycza Modrzewskiego, przystąpił do matury. Dwunastego maja odwiedzili go koledzy, wypili wino i poszli na spacer po Starym Mieście.

...w drodze powrotnej Grzegorz Przymyk objął rękoma za szyję Cezarego Filozofa

(gruba kobieta z tlenionymi włosami trzyma w upierścienionych rękach akt oskarżenia; poci się; jest upał, spod togi widać letnią sukienkę w kwiaty)

...zawisnął na jego plecach i obaj upadli na chodnik, zdarzenie to dostrzegli pełniący służbę patrolową funkcjonariusze ZOMO... w tej sytuacji przewieźli Przymyka do komisariatu

...inny funkcjonariusz zbliżył się z pałką

...pojawił się Denkiewicz, który zwrócił się do bijących - bijcie tak, żeby nie było śladów

...załoga karetki pogotowia ratunkowego przewiozła Grzegorza Przymyka do pogotowia na Hożą. W holu sanitariusz Wysocki nadepnął przypadkowo palcami stopy obutej w adidasy na brzuch leżącego. W przekonaniu podejrzanego nadeknięcie to spowodowało obrażenia skutkujące zgon

...o godzinie zero piętnaście czternastego maja przystąpiono do operacji, podczas której stwierdzono ogólne potłuczenia brzucha, rozlane kałowo-ropne zapalenie otrzewnej, przedziurawienie wstępnic...

...nastąpiło krytyczne pogorszenie stanu chorego z jednoczesnym zatrzymaniem akcji serca. Podjęta reanimacja okazała się bezskuteczna i o godzinie trzynastej piętnaście Grzegorza Przymyka uznano za zmarłego.

Celina rozumie, że byłoby dziwne, a nawet śmieszne, gdyby się teraz rozpląkała, stara się więc nie myśleć o brzuchu dziecka Barbary Sadowskiej. Swoim zwyczajem zaczyna dziękować. Robi to skrupulatnie i pełnymi zdaniem - Słuchaj, dziękuję Ci, że to nie moje dziecko szło placem Zamkowym o siedemnastej czterdzieści, dziękuję Ci, że brzuch mojego dziecka jest w porządku...

Wprost z sądu idzie do ojca Pauli. Janusz zwykle mówił "do ojca", ale ją to drażniło i za każdym razem poprawiała go - "do ojca Pauli". Poprawiała go tak przez dwadzieścia parę lat, od kiedy Paula wyjechała, a tego ranka powiedziała - Po sądzie wpadnę do ojca. Zdziwiła się, kiedy Janusz zauważył - Od jakiegoś czasu ta forma już ci nie przeszkadza... Pomyślała, że i to może mieć związek z A. Jak tyle innych rzeczy, które już nie drażnią jej i nie przeszkadzają. (- Byliśmy gorsi nie mając siebie - mawia A.)

Ojciec Pauli mieszka na Puławskiej, koło sklepu Wedla. Jest to przedwojenny dom z szeroką klatką schodową i przestronnymi mieszkaniami.

Znała podobne mieszkania. W dobrym punkcie - żadne Stegny, ani nawet WSM; Lwowska, Wiejska, Śniadeckich, Górny Mokotów w najgorszym razie - i tak wysokie, że zawsze zastanawiała ją, jak się tu zbiera pajęczynę z sufitu. Mieszkania te wydawały się puste i smutne. Młodych ludzi w nich nie było, bo dzieci przebywały za granicą już od lat, a jeśli czasem pojawiała się młodzież, niegdyś z dziećmi zaprzyjaźniona, to w sprawach, o których lepiej nie wiedzieć za dużo. W głębi mieszkania, gdzieś w tle, snuł się wtedy chudy, niewesoły staruszek: gospodarz, nerwowo spoglądający przez okna w dół, albo przez judasza na klatkę schodową.

I teraz Celina czuje spojrzenie zza wizjera.

- Dlaczego dzwonisz raz? - pyta zrzędlawie ojciec Pauli. - Nie wiesz, że dwa razy się dzwoni?

- Znowu knują? - dziwi się Celina, bo ojciec Pauli uprzedzał ją zwykle o towarzyskich spotkaniach. Przychodziła wtedy wcześniej, przynosiła ciasto i parzyła w termosach kawę. Z początku ją to kępowało - ani córka, ani synowa, tekst "obecna żona dawnego zięcia" słabo się do prezentacji nadawał, stanęło wreszcie na "przyjaciółce Pauli", co brzmiało naturalnie dla wszystkich.

- Dostałam cytryny i curantyl - Celina wyklada zakupy i rozgląda się, jak zawsze, po pokoju, obserwując uważnie własną reakcję. Patrzy spokojnie. Jak spokojnie patrzę - myśli.

- Czy słyszałeś, że curantyl nie działa bez aspiryny? Nie każdy lekarz wie o tym. (Informacja, naturalnie, od A.)

W pokoju nic się nie zmieniło. Te same sosnowe meble - Paula uwielbiała styl ludowy - i broszury Ostrowitianowa, komentujące "Kapitał". Tyle że jeszcze podziemne wydawnictwa i na słomianej macie kalendarz ścienny "Solidarności", z wielkim tłumem pod parasolami.

Z rzeczy solidnych przybyła od wyjazdu Pauli tylko szafa, dziwnie jakoś ustawiona przez ojca, bokiem. Na tej zewnętrznej, bocznej ścianie ktoś przybił pinezkami duże zdjęcie Papieża.

Celina pamięta dzień, w którym szafę przewozili. Był to sześćdziesiąty czwarty rok, parę lat po wyjeździe Pauli, parę miesięcy przed śmiercią matki Celiny. Matka, która po ostatnim powrocie ze szpitala rozpoczęła spokojne przygotowania - porządki w szafach, komu pianino, a komu lampę - zaprosiła na herbatę ojca Pauli i ojciec Pauli, który wrócił właśnie z Paryża, opowiadał o "Łysej Śpiewacze". Mieszkał na rue de la Huchette - róg de la Huchette i de la Harpe, gdzie sklep z bagietkami - sprecyzował i wszyscy usłyszeli nostalgię, ów mal de Paris, z jaką wymieniał nazwy - niedaleko teatru, i był prawie pewny, że któregoś dnia widział przechodzącego autora.

- A pogrzeb Thoreza widział ojciec? - spytał Janusz, bo podczas pobytu ojca Pauli w Paryżu umarł Thorez, i wtedy okazało się, że ojciec Pauli w ogóle nie był na pogrzebie. Pracował w małej fabryczce trykotaży, tej samej bodaj, co w latach trzydziestych, po przyjeździe do Francji z wojny hiszpańskiej, wszyscy wybierali się na pogrzeb, nawet patron szedł i jego zachęcał do pójścia, a on powiedział - Nie - i został sam jeden w całej fabryce i nie wyłączył maszyny nawet na moment.

- Ale dlaczego? - dziwiła się matka Celiny. - Przez tyle lat był pan przecież...

- Właśnie dlatego - wyjaśnił ojciec Pauli i więcej do Thoreza nie wracali.

Kiedy już wypili herbatę i zjedli morelowe konfitury (- Morele z naszej działki - powiedziała matka Celiny. - Jeszcze zdążyły urosnąć, a ja zdążyłam usmażyć... Na co ojciec Pauli zaprotestował gorliwie - Ależ pani Zofio, zdąży pani nie jeden raz...) matka Celiny powiedziała - Chciałabym coś panu zostawić na pamiątkę.

- Ależ - znów spieszył się ojciec Pauli. - No, jakiś drobiazg, najwyżej, jeżeli to konieczne...

- Dokładnie tak pomyślałam, zostawię mu drobiazg - podchwyciła matka Celiny z pewną uciechą. - Czy mógłby go pan zabrać jeszcze dzisiaj? Za panem stoi... Tak, to...

Za ojcem Pauli stała szafa. - W mieszkaniu córki się nie zmieści, więc pomyślałam, że może pan... Nie była to cała prawda: Celina nie znosiła tego mebla, całkiem niezależnie od jego rozmiarów.

Ojciec Pauli podszedł do szafy i dotknął ręką drzwi.

- Pan Stach nam ją zrobił, opowiadałam panu? Kanapę nam zrobił do salonu, jeszcze przed wojną, tę szafę zrobił w czasie wojny, a teraz mógłby mi zrobić trumnę, gdyby żył. Każda rodzina powinna mieć swojego doktora i swojego stolarza, mawiał pan Stach...

W tym miejscu Celina pomyślała, że nawet jej matka stała się w końcu gadatliwą staruszką. - Może ojciec Pauli wcale tej szafy nie chce, mamó...

Ale ojciec Pauli chciał mieć szafę, nawet nalegał, żeby koniecznie, i szafa, za którą siedziała Paula ze swoją matką, i zza której usłyszały pewnego dnia arię z "Księżniczki Czardasza",

znalazła się w mieszkaniu na Puławskiej. Celina i Janusz pomagali ją wnieść i ustawić i kiedy już dopijali Beaujolais, przywiezione z Paryża przez ojca Pauli, ojciec Pauli powiedział - Już wiem, co się działo w szpitalu. Zajęli go powstańcy, ale Niemcy zrobili podkop i dostali się do środka. To była sobota. Zaczęło się palić, bo oni podłożyli w piwnicy ogień i wariaci wybiegli z sal. Jak zobaczyli ogień, zaczęli się strasznie cieszyć. Nie wierzycie? Zaczęli śpiewać. Oni tańczyli wśród tego ognia i śpiewali, ja wam to zaraz przeczytam, jak nie wierzycie - i sięgnął na regał. - Może i lepiej - westchnął - że Paula nie wiedziała, jak zginęła matka...

- Wiedziała - wtrącił Janusz.

- Jak to? - nim jeszcze zawołała "jak to?", poczuła znane sobie, gwałtowne, zazdrosne uderzenie serca - Skąd?

- Nie wiem skąd, ale wiedziała na pewno - powtórzył Janusz, odgradzając się tymi słowami od niej. Odgradzając siebie i Paulę od niej. Odgradzając ją od Pauli i siebie...

- Jak wy myślicie - podjął ojciec - czy jej matka - przejął ich zwyczaj nazywania żony "matką Pauli" - czy ona też... Ale Celina zaczęła coś szybko opowiadać, zaczęła tłumaczyć, zdaje się, jak szafa stała podczas wojny w ich mieszkaniu, że stała w takiej wnęce i kiedy się wyjęło z tyłu deskę, można było całkiem swobodnie precyzyjnie się do kryjówki, w każdym razie ona i Paula robiły to z łatwością...

- Po co ja to mówię - sumitowała się Celina, która już zapanowała nad głosem i przywdziała miły, kulturalny uśmiech. - Na pewno Paula opowiadała ojcu o tym wiele razy...

Wiedziała doskonale, że Paula nie chciała opowiadać mu o niczym. - Trzeba było z nami być, to byś wiedział - mówiła za każdym razem, nawet kiedy próbował dowiedzieć się czegokolwiek o jej matce, swojej żonie, a ojcu nie wypadało rozpytywać matki Celiny. Zresztą co one z Celiną mogły wiedzieć, skoro były tu, po tej stronie szafy.

- Trzeba je było szybko chować - ciągnęła Celina. - Zwłaszcza kiedy przychodził ktoś obcy. Na przykład Janusz. Bo nie wiem, czy ojciec się orientuje, że Janusz uczył mnie czytać. Przychodził często, ale kompletnie nie miał pojęcia, co się w naszym domu dzieje. Nikt nie miał pojęcia.

- To wiem - pochwalił się ojciec Pauli. - Wyście się uczyli, a Paula słuchała zza szafy waszych lekcji. Kiedy wychodził, pytała cię, jak wygląda.

- I co mówiłam?

- Że jest taki sobie, ale ma ładny, kolorowy sweter. A Paula mówiła, że przecież ten sweter zna, bo twoja mama go robiła z resztek.

- Ona to wszystko opowiadała ojcu?

- Co za pytanie? Przecież to nie sekret, że on już wtedy bardzo jej się podobał.

- Ale ona go wtedy nie widziała. Nie wie ojciec? pierwszy raz go zobaczyła w dziesięć lat później. Na naszym balu maturalnym zobaczyła go pierwszy raz. Wtedy ona go jeszcze w ogóle nie widziała!

- Nie szkodzi - wytłumaczył jej ojciec Pauli, jak już przestała krzyczeć. - Dla uczuć to nawet lepiej. Mogła go sobie wymyśleć jak chciała, on jej nie przeszkadzał. A rano po tym balu maturalnym jeździliście za miastem na rowerach - uśmiechnął się nagle do Janusza, jakby coś sobie przypomniał - i ty jeździłaś najszybciej. To uważacie, że ona tam śpiewała? - dokończył wreszcie pytanie ojciec Pauli. - Biegała tak, w tym ogniu, z wariatami, i śpiewała, co?

Celina przestraszyła się, że ojciec Pauli znów zechce zademonstrować, jak ładny głos miała jego żona, ale nie, ojciec Pauli nie opowiadał i nie pytał już o nic więcej. Podeszedł do szafy, zamknął starannie drzwi i ucieszył się:

- O, nawet klucz jest.

Celina, w czasie terażniejszym tej książki, patrzy ze zdziwieniem na zdjęcie, przybite pinezkami do bocznej ścianki. - Ktoś przyniósł mi... - ojciec Pauli jakby się tłumaczył, niepotrzebnie, doprawdy, w tyłu domach wisi teraz jego zdjęcie, ale nie, ojciec Pauli wcale nie tłumaczy się, tylko się zamyśla. - Jeden franciszkanin mi opowiadał, że widział w dzieciństwie Żydów, jak modlą się na łące. Matka powiedziała mu - widzisz? oni się nie wstydzą Boga... Ja mu się przyglądam... Ja obserwuję tego człowieka już od dawna. On rozmawia z Nim. On się nie modli, jak inni, on z Nim rozmawia. On się tak modli, jak się modlili Żydzi, którzy się nie wstydzi Boga.

Celina, nadal w czasie terażniejszym, mówi, że będzie miała dziecko. - To nierozsądne, wiem - i uśmiecha się do lekarki, wkładając w uśmiech całą młodość, na jaką ją stać. Jest jej chyba za mało, bo lekarka przygląda się w milczeniu. - Podjęłam już decyzję - mówi Celina i tym razem stara się zademonstrować pogodę i siłę. - Muszę tylko jedno wiedzieć: czy dziecko będzie normalne. Mam czterdzieści siedem lat...

- Ile lat ma partner? - pyta lekarka i Celina uznaje słowo "partner" za niedelikatne...

- Pięćdziesiąt trzy - mówi z urazą.

- Dużo - mówi lekarka. - Wśród rodziców w tym wieku wzrasta procent dzieci mongoidalnych.

- Wiem. Już załatwiłam sobie termin badań...

Wobec tego lekarka zaczyna wypisywać kartę - Kiedy była ostatnia miesiączka? - pyta biorąc ze stołu kalendarz, ale nie trzeba niczego obliczać. Celina wie, kiedy to się stało, nie mieli w końcu z A. zbyt wiele okazji. W poniedziałek, w mieszkaniu ojca Pauli, kiedy musiał wyjechać do Łodzi na badania kontrolne. Było im bardzo miło pod kalendarzem "Solidarności" i pod tkaniną

zawieszoną na ścianie przez Celinę. Zrobiła ją własnoręcznie, z wypukłego sznurka. Miała dwie płaskie postacie pośrodku i minimalny pic: wolną osnowę na górze - strasznie się jej to podobało i chciała zostawić więcej takich ażurków, ale zapanowała nad tym, bo pic byłby już niewybaczalny. A. zauważył, że czuje się w tym mieszkaniu wyjątkowo dobrze. Szkoda, że częściej nie mogli w nim być - niestety, odkąd znają się z A., tylko raz ojca Pauli nie było w domu dłużej: kiedy leżał w szpitalu w Łodzi na zapalenie płuc. Mieli pecha, bo po paru dniach A. musiał wyjechać na kongres antropologów do Tbilisi. Przywiózł jej pierścionek z turkusami i mówił, że ich metody rekonstruowania twarzy są bardzo interesujące. Była wściekła na A., jakby to on wymyślił termin kongresu i idealnie zsynchronizował go z terminem choroby ojca Pauli. - Coś w tym musi być - mówiła, zaś A. tłumaczył, że jej gniew wynika z czego innego. - Naprawdę - tłumaczył A. - złościsz się dlatego, że za późno spotkaliśmy się w życiu, ty i ja. Ja stawałem się bez ciebie, a ty beze mnie. Rozsądne wyjaśnienie A. rozgoryczyło ją tak bardzo, że zaczęła płakać. Płakała, ponieważ on stawał się bez niej i ponieważ ma kamień nerkowy, i rwali mu korzeń w stanie ropnym - a jak w godzinę po rwaniu spotkali się, to pił kawę prawym kąciem ust, lewym przytrzymując niezręcznie opatrunek. Płakała, bo jego ubrania są ze sztucznego włókna i błyszczą się na kolanach, a palto jest w stylu naczelnika miasta i gminy Różan, ale nawet i to nie było jeszcze całą prawdą. Tak naprawdę płakała z goryczy - że nie przy niej psuł mu się korzeń i gromadziły się kamienie w nerkach i przecierało się na kolanach sztuczne włókno.

- Ostatnia? - powtarza Celina pytanie lekarki. - Dwudziestego czwartego kwietnia, ale nie musi pani doktor obliczać, dokładnie wiem, kiedy to się stało.

- To była taka zabawa, byli pewni, że zdadzą maturę i było im wesoło... Na placu Zamkowym Grzegorz położył mi się na ramiona, ja się potknąłem, upadliśmy, zauważyłem radiowóz... Komenda była otwarta. Weszliśmy. Ktoś poprosił o dowód. Grześ powiedział, że stan wojenny jest zawieszony, milicjant powiedział - już my cię nauczymy, że będziesz nosił dowód i wyjął pałkę. Grzegorz złapał pałkę, zobaczyłem, że dochodzi drugi milicjant, zobaczyłem pałkę w powietrzu, zobaczyłem, że podchodzi trzeci milicjant. Zobaczyłem, że Grześ leży na ziemi...

...To była jedna pałka czy kilka pałek?

...Czy było naraz kilka pałek uniesionych w górze?

...Czy to były krzyki, czy jęki?

...Czy pozostawały w związku czasowym z pałkami w górze?

... - Podjechał radiowóz, koledzy zostali zatrzymani, a ja poszedłem wyjaśnić sprawę na komisariat. Byłem trochę przestraszony i chwilę czekałem. Usłyszałem krzyk Grzegorza. Miałem wrażenie, że był bity. Wszedłem. Grzegorz leżał na ziemi za kratą i jęczał. Poszedłem po matkę Grzegorza i powiedziałem, że Grzegorz jest na komisariacie i jęczy...

...To był jeden krzyk czy dużo krzyków?

...Jak rozpoznać krzyk człowieka bitego?

...Czy świadek słyszał kiedyś krzyk człowieka bitego?

...Czy był to stały krzyk, czy przerywany?

...Czy był to krzyk cichnący?

...Czy zmieniał natężenie?

...Dlaczego świadek nie wszedł do komisariatu, jak usłyszał krzyk? Czego się bał świadek?

...Więc jak brzmiał - nie, nie ma świadek krzyczeń. Samogłoska "a". Czy tylko "a", czy różne dźwięki samogłoskowe?

... - Przyszedłem do nich trzynastego, powiedziałem - Grzegorza nie ma?, bo była cisza zupełna, pani Basia powiedziała, że jest Grześ. Zobaczyłem go leżącego na materacu... Spytałem, jak cię bili? On mówi, że rękami w brzuch. Pamiętam dokładnie jego słowa: bili mnie rękami w brzuch. Siedziałem na podłodze, a on patrzył na mnie. Spytał - nosisz jeszcze plaster?, bo miałem skaleczony palec. Obok stał talerz z ciastem, powiedział, żebym zjadł kawałek, potem powiedział - Basia, przynieś Maćkowi kompotu, potem spytał, czy mam przygotowaną teczkę z rysunkami na studia. Potem spytałem, co mogę zrobić. Powiedział, żebym poszedł po Marzenę. Powiedziałem - jak się poczujesz lepiej, zadzwoń do mnie. Powiedział coś, ja nie dosłyszałem, cofnąłem się i on powtórzył, i znów nie dosłyszałem.

Celina musi być na tym procesie, "żeby zapisywać". Co oznacza - żeby zrobić swoje codzienne zdjęcie. Na przykład zdjęcie kobiety w dzinsowej kurtce syna. Powinna więc podejść, zatrzymać na sobie jej rozproszone, przezroczyście spojrzenie i wyjąć aparat. Przedtem powinna powiedzieć: - Przepraszam cię, ale ja jestem po to, by zapisywać. I któregoś dnia rzeczywiście to mówi: - Przepraszam cię, ale ja jestem po to... - A ja byłam, żeby urodzić syna imieniem Grześ... - mówi tamta. - Wiesz - mówi jej Celina - nie wszystkie kobiety rodzą dzieci do zabicia. Jedna moja znajoma rodzi dzieci do życia bezpiecznego. Powiedziała mi: rodzę dzieci, których się nie zabija. Jej ojciec to wykombinował, kiedy jeszcze była w ciąży. Masz urodzić dziecko do przeżycia, powiedział... - Ja wiem - mówi Celina matce Grzesia. - Twój ojciec nie mógł tego wykombinować, kiedy byłaś w ciąży. Po pierwsze - już go nie było. Po drugie - skąd mógłby wiedzieć cokolwiek o przeżyciu: człowiek w pasiaku, który nie miał sił, żeby wywiesić białą szmatę w ostatniej chwili, kiedy nad ich łódź nadlatywały alianckie samoloty...

Celina ma od początku dziwaczne, absurdatne poczucie. Jakby tamta wzięła coś na siebie i za nią. Coś, czego Celina bała się najbardziej ze wszystkiego. Celina ma poczucie, że teraz nic złego nie może jej się stać i jest Barbarze Sadowskiej tak za to wdzięczna, że staje na korytarzu tuż obok i ma ochotę ukradkiem pogłaskać ją po dzinsowym rękawie.



Na wszelki wypadek pije dużo mleka i rzuciła palenie. Rano czuje natrętne zapachy, wieczorem dotyka powiększonych piersi. Budzi się nad ranem i próbuje dociec, co ją obudziło, radość czy lęk. Zadzwoiła do lekarki z wynikami badań - Proszę się pokazać za dwa tygodnie - powiedziała lekarka.

Na podstawie teorii doktora Benendo obliczyła, że urodzi chłopca. - Mój syn będzie młodszy od mojego wnuka - chichocze nad ranem i dochodzi do wniosku, że to, co ją obudziło, to była radość.

Podjęła decyzję, która wymaga siły. Skąd czerpie ją? Z pospiesznych spotkań z A.? Z codziennego zdjęcia? Z zapisywania... To my, zapisujący, opowiemy, że był świat. Że była skarpa, że była Celina, że był A., że była Barbara Sadowska w za dużej kurtce... Co nakłada na nas spore obowiązki, lecz i przysparza sił, to prawda. Skąd jednak pewność, że częśćka owego obowiązku spoczęła na Celinie? Nie wystarcza poczucie misji, potrzeba jeszcze paru deka talentu. Talent sprawia, że wie się nieco wcześniej niż inni. A Celina dowiadywała się późno. I właściwie dla kogo? I czy na pewno tak, jak należało wiedzieć?

Niezręcznie mi mówić o tym.

Od początku nie wierzę w talent Celiny.

Choćby imię. Czy człowiek utalentowany może nosić imię Celina? A nogi? Z jej nogami - talent? Z tak prowincjonalnie grubymi łydkami można od biedy śpiewać "Tysiące rąk, miliony rąk, a serce bije jedno", ale nie opowiadać, że był świat.

O...

Celina się roześmiała. Z czego? Wyzanję w końcu rzeczy niewesołe.

Znowu roześmiała się, po raz pierwszy słyszę jej śmiech.

Prawdę mówiąc jej decyzja mi imponuje.

To dobrze, że pije dużo mleka.

Jej śmiech mnie zaskoczył.

Ludzie śmieją się na ogół oddzielnymi śmiechami, oddzielnymi ha-ha-ha, a śmiech Celiny jest nieprzerwany, niegłośny. Brzmi jak powściągany śmiech dziecka. Pomyślałam - czy to możliwe, że ona wie więcej, niż do tej pory sądziłam, że wie?

Zrobiło mi się przykro z powodu tych łydek - może pomogłoby pływanie? Rower nie, od roweru stałyby się jeszcze bardziej umięśnione. Przykro też, że wątpię w talent, ale sama orientuje się najlepiej, że i tkaniny, i film animowany okazały się pomyłką.

Szkoda, że nie poszła na grafikę, jak zamierzała po liceum plastycznym, Paula postanowiła jednak, że pójdą na uniwersytet. - Będziemy razem - powiedziała Paula i to "my" oznaczało całą trójkę. Od balu maturalnego, na który Celina przyprowadziła Janusza i Paula zobaczyła go po raz

pierwszy (- Jestem - uśmiechnęła się do Janusza - Więc tak wyglądasz. Powiedz coś... Poznałabym cię po głosie. Wiesz, że głos wcale ci się nie zmienił? Wszystko to mówiła w napiętym skupieniu, nie spuszczać oczu z Janusza, Mówiła z tak spokojną pewnością, jakby tekst "jestem... poznałabym cię po głosie", był kwitem, z którym zgłaszała się po odbiór depozytu, należącego się jej od dawna. Na drugi dzień pojechali w trójkę za miasto rowerami i Janusz pożyczył Pauli swoją kurtkę. - Pachnie wiatrem - powiedziała mu Paula) - od owego balu więc zaimek "my" znaczył już nie Celinę i Paulę, lecz Celinę, Paulę i Janusza. Niestety, Paula wyłoniła się zza ich szafy z taką energią, z gotowością do życia tak zażartą, że Celina nie próbowała nawet oponować. - Pojedziemy w tym roku nad morze - mówiła Paula i jechały nad morze. - Kupimy sobie szerokie paski - mówiła Paula i kupowały sobie po pasku z szerokiej, czarnej taśmy, z metalową klamrą, który zresztą nieporównanie lepiej wyglądał na wciętej tali Paulii niż na Celinie. A teraz Paula powiedziała - Pójdziemy razem na polonistykę.

- To dobry pomysł - tłumaczył Celinie Janusz i po raz pierwszy usłyszała w jego głosie coś, co później zidentyfikowała jako poczucie winy.

- W porządku - powiedziała szybko i przywdziała miły kulturalny uśmiech, który później wyćwiczyła do perfekcji.

Po polonistyce - Paula i Janusz mieszkali już razem na Puławskiej - wymyślili dla niej film animowany. - Będiesz mogła wykorzystać zdolności malarskie - zapewniali skwapliwie, załatwili wszystko przez jednego pana, Paula zawsze знаła pana, przez którego można było wszystko załatwić, i oboje odprowadzili ją pod drzwi Studia Miniatur.

Dzięki miłemu reżyserowi w średnim wieku Celina opanowała zasady rysunku i ruchu filmowego (- Tylko nieprawdziwy, przetworzony ruch daje wrażenie prawdy) i powierzono jej utwór o kocie, który uciekł do lasu. Wiewiórka dawała mu orzechy, ale nie umiał ich jeść, więc zrozumiał, że nie jest wiewiórką, ptak zachęcał go do latania, więc zrozumiał, że nie jest ptakiem... Między zrozumieniem, że kot nie jest ptakiem i odkryciem, że i jeżem nie jest - każde z odkryć wymagało od Celiny tysiąca rysunków - próbowała sobie wyobrazić, co Paula i Janusz robią w mieszkaniu na Puławskiej.

Po pracy czekali na nią przed Studiem. Celina opowiadała o kocie, który nie był ptakiem, a Paula mówiła, że jest to film o poszukiwaniu tożsamości. Nazajutrz Celina zawiadamiała reżysera, że jego film o obyczajach leśnych zwierząt ma drugie dno, ponieważ jest historią szukania tożsamości, reżyser zapraszał ją do Mozaiki i czyszcząc fajkę zwierzał się, że czuje, jak pewne przedmioty go nie lubią. - A co zrobiłby ten kieliszek, gdyby mnie nie lubił - zamyślał się reżyser i odpowiadał sam sobie - Pękłby, rozprysnąłby się i złośliwie ochlapał mnie winem. I to właśnie jest myślenie filmowe - pointonował dydaktycznie. Celina śmiała się, zachęcała reżysera do oswojenia

kieliszka i nie starała się nie myśleć, co robią Paula i Janusz, ponieważ była zdania, że niemyślenie o nich ma już od jakiegoś czasu opanowane.

Po paru narysowanych cudzych filmach Celina złożyła własny scenariusz i mniej więcej w połowie tego filmu, który był o kolorowym chłopcu i czarniobiałej dziewczynce - dziewczynka pragnęła też stać się kolorowa i rzeczywiście, jej oczy, policzki i sukienka stopniowo nabierały barw: miły reżyser sugerował, że dzięki dobrym uczynkom, ale Celina upierała się, że pod spojrzeniem kolorowego chłopca - otóż w połowie tego filmu Paula wyjechała na zawsze. W przeddzień jej wyjazdu były na długim spacerze i Paula zapewniała, że wyjdzie bardzo bogato za mąż. - Zbudujemy sobie bardzo duży dom, a ty będziesz miała u nas swoje piętorko. Znowu używała formy "my" i "nas", jak kiedy mówiła "pójdziemy razem na bal", tyle że tamto "my" oznaczało je obie i Janusza, a "my" na spacerze zawierało jedną niewiadomą - bogatego męża Pauli.

Paula wyszła bardzo bogato za mąż, zbudowała sobie bardzo duży dom, zaś w ostatniej paczce z kawą leżała karteczka: Kazałam zmienić tapety na twoim piętorku. - Bardzo by mi się piętorko przydało, bo kompletnie nie mamy z jednym panem imieniem A., gdzie się podziać - odpisała. Była rozbawiona znacznie bardziej niż A. zgorzeniem, któremu Paula dała wyraz w pospiesznym liście.

- Kto postanowił, że będzie żył, ten przeżyje - tłumaczyła Celinie na pożegnalnym spacerze. - Ja na przykład, jak tylko zobaczyłam tę waszą szafę, zaraz postanowiłam, że przeżyję. Taki miałam pomysł. Przeżyć. - Paula roześmiała się. - I wykonałam go, jak wiesz - śmiała się coraz weselej. - Kto chce, ten przeżyje, tylko musi to sobie dobitnie powiedzieć.

Niedawno Celina powtórzyła ich rozmowę ojcu Pauli. Obok, w pokoju, odbywało się jedno z tych spotkań towarzyskich, na które trzeba było przynosić ciasto i termos z kawą, więc mówiła półgłosem - Kto postanowił, że będzie żył, ten przeżyje... Co brzmiało, jakby chciała zwierzyć ojcu Pauli jakąś tajemnicę. Ojciec Pauli robił irytująco rozsądne uwagi w rodzaju "znałem paru, którzy też chcieli przeżyć", i Celina pomyślała, że jednak nie sposób wytłumaczyć mu tych akurat rzeczy, które one z Paulą uważały za oczywiste.

- Pamiętaj - ciągnęła Paula; chodziły po lesie, wzdłuż torów, na Kole chyba, i Paula zdecydowała, że zostawi jej parę bezcennych wskazówek na pożegnanie - nadrzędną rzeczą jest samo życie. Trud przetrwania jest duży, to prawda, niektórzy byli nim tak zmęczeni, że już nie mieli później siły na nic, ale ja miałam siłę. Za was wszystkich - dodała, a Celina pomyślała, że byłoby lepiej, gdyby przynajmniej dla niej, dla Celiny, tych sił Pauli zabrakło.

Stali na peronie, Paula wychylona z okna, spokojna i wesoła, spytała - Dokąd pójdziecie teraz? - Do ojca - odpowiedzieli jednocześnie i Paula skinęła aprobująco głową, jakby musiała czuwać nad nimi jeszcze tu, na dworcu Gdańskim, na chwilę przed swoim wyjazdem na zawsze.

Wyszli razem z peronu, odprowadzili ojca, potem Janusz ją odprowadził, Celina zrobiła herbatę i wyznała, że zaczyna mieć kłopoty z ruchem. - Wszystkie fazy są poprawne, ale nie ma w nich nadwyżki.

- Czego? - zapytał Janusz.

- Nadwyżki. Tak mówi opiekun artystyczny. Moje kormorany unoszą się za dosłownie, moja dziewczynka chodzi za dosłownie, a w sztuce musi być coś ponad dosłowność, rozumiesz?

Odtąd Janusz przychodził pod Studio sam i szli do Niezabudki na rurki z kremem i wszystko było tak oczywiste, że Celina z trudem przypomina sobie dzień, w którym leżeli pierwszy raz na jej tapczanie, z muzyką Radia Luxemburg nad głową nastawioną za głośno przez wzgląd na matkę.

Paula powróciła do ich życia jak już Celina była zajęta Julką - Julią, poprawiał niezmiennie Janusz - pracowicie i bezpiecznie, i jak przestały ją martwić filmy bez nadwyżki. W dniu, w którym zawieźli ojcu Pauli wiadomą szafę i ojciec powiedział - Może i lepiej, że Paula nie wiedziała, jak zginęła matka... Co Janusz, odruchowo całkiem, sprostował - Wiedziała. Nie wiem skąd, ale wiedziała, na pewno. Wieczorem siedzieli przy herbacie - była to ich ulubiona pora, Julka spała, a oni siedzieli w kuchni, w kącie, pedantycznie wyłożonym przez Janusza sosnową boazerią, i Celina spytała po raz drugi - Skąd wiesz, że Paula wiedziała, jak zginęła matka?

Potem poszli do łóżka i Celina spytała - Skąd wiesz?

Potem powiedziała - Jeszcze ją kochasz, prawda?

Potem powiedziała - Szukasz jej we mnie, co? to jak się z nią kochałeś, pokaż.

Odtąd pytała często - Tak robiłeś z nią?, tak?, a on był dla niej dobry i bardzo cierpliwy.

Czasami obejmowała go za szyję i cichutko, jakby szepcząc czułości, mówiła do ucha - Myślisz może, że ciebie kochała? Kochała tego, którego wymyśliła sobie u mnie, za szafą, jak nie mogła cię widzieć... - obejmowała go coraz mocniej - W "nadwyżce" kochała się nie w tobie... On ostrożnie rozplątywał jej ręce i spokojnym, terapeutycznym głosem mówił - Tak, chyba masz rację...

Znowu zaczęła żalić się na dosłowność swoich rysunków. Prawdę mówiąc "Kormoran osuszający skrzydła" na rycinie w Encyklopedii Popularnej PWN miał więcej poezji niż w jej filmach... Prawdę mówiąc nie czuję się tym odkryciem zaskoczona, choć przyznaję, że jest mi przykro...

Janusz postanowił, że kupią krosna: - Tkanina nie wymaga ruchu, a wszyscy mówią, że w kolorze jesteś pierwszorzędna... Kupił je w Cepelii i zapisał Celinę na kurs, na którym nauczyli ją tkąć narzuty. Sprzedawała je bez trudu, bo okazało się, że - jak się wyraziła jedna z pań na komisji ocen - mają ciekawą fakturkę i świetnie nadają się na spódnice. Po jakimś czasie zaczęły ją od

poziomych krosien boleć nadgarstki, poza tym spódnice nie są sztuką i Janusz orzekł, że powinna zająć się gobelinami. Zamówił u pana Balcera na Okęciu krosna pionowe i zaniósł próbki prac znanej artystce. Artystka zgodziła się uczyć Celinę w zamian za tkanie jej projektów, które wydały się Celinie dziwne i wspaniałe.

Pewnego dnia próbowała zrobić coś własnego i od razu wyniknął kłopot, bo bez końca przekładała w rękę nitki, niepewna, czy mają być osobno, czy razem, i jakie mają być, i pani Owidzka - tak nazywała się artystka - wytłumaczyła, że odwaga decyzji jest równie ważna w sztuce, jak wyczucie koloru.

Wreszcie Celina połączyła coś lśniącego z czymś matowym, pani Owidzka powiedziała - Może być - i kazała jej zrobić w domu mały pejzażyk. Nastąpiła wtedy moda na tkaniny przestrzenne, na wypuszczanie faktur i różne takie rozbastwione historie i Celina miała sporą pokusę, żeby wypuścić w przestrzeń trochę trawki. Na szczęście oparła się i zrobiła rzecz powściągliwą - opinia pani O. - z rytmami plam niezłe zorganizowanymi jak na początek. Celina niezbyt dokładnie rozumiała, gdzie były rytmy plam, ale ucieszyła się tym bardziej, że pejzażyk kupił Jan Bijak, redaktor, podobno niezły znawca sztuki, i zrobiła kolejną tkaninę: ze sznurków różnych grubości, z wypukłym, luźnym splotem, z dwiema płaskimi postaciami pośrodku.

- Czy czuje się, jak im okropnie smutno? - pytała panią Owidzką, która jednak smutku postaci nie czuła, za to pochwaliła staranność tkania. Na górze Celina zostawiła wolną osnowę - prześwit, czy ażurek, który jej się spodobał. Strasznie chciała zrobić ażurków jeszcze więcej, ale byłby to pic, który pani Owidzka nazwała grafomanią.

- Kiedy w kolejnej tkaninie jednak pojawiły się "rozbuchane historie", pani Owidzka spoważniała - Myśli pani zapewne, że to dzieło, a to są ochłapy.

Celina, jak było do przewidzenia, zapytała, po czym odróżnić ochłapy od dzieła i okazało się, że po duszy.

- A co to znaczy "po duszy"?

Okazało się, że to jest coś, co robi się z wewnętrznej potrzeby, a nie żeby było ładnie.

Nie ma sensu ciągnąć tę dyskusję - Celina nalegała jeszcze: A jeśli moją wewnętrzną potrzebą jest, żeby było ładnie i tak dalej - przyszła natomiast pora wyjaśnić, czym jest pic. Przede wszystkim: nie należy utożsamiać go z kiczem. Kicz, jak pisał Kundera, jest poetyką pewnego świata (Kundera posłużył się przykładami kiczów amerykańskiego i radzieckiego, czyli monumentalnych, pominął natomiast kiczusie pomniejszych, choć tak dobrze wiemy, że małe kraje potrafią wytworzyć wcale pokaźny, naprawdę dorodny kicz). Pic natomiast jest pojęciem skromniejszym i dotyczy jedynie formy. Pic jest po to, żeby było ładnie. Pic jest wtedy, kiedy autorowi nie udało się ukryć przed publicznością intencji. Pic jest tam, gdzie autor posłużył się

haftem, bo mu zabrakło materii. O, tutaj, mówimy wskazując słowo, pomysł, gest, kolor, znak, bowiem pic jest ornamentem, który potrafimy wskazać.

Po Biennale tkanin w Zachęcie Janusz powiedział - Widzisz, jak to się robi? Tak trzeba tkać dzisiaj. I Celina zrobiła kosmatą tkaninę z wrobionymi szydełkiem dziesiątkami palców od rękawiczek. I pani O. zawiadomiła, że nie ma jej do powiedzenia nic więcej. I Celina pomyślała, że wszystko już się w tkaninie zdarzyło i nie wiadomo ani co jest picem, ani co jest prawdą. Pomyślała także, że Stwórca, przez roztargnienie, czy przez oszczędność, czegoś jej w ostatniej chwili poskąpił. Niewiele było trzeba jej kormoranom, żeby się oderwać od ziemi z radości, i jej postaciom ze sznurka. by w smutku znieruchomieć. Paru deka, może mniej, paru gramów talentu, to wszystko. Miała o to do Stwórcy żal i nawet zapomniała o zwykłej wdzięczności. Słuchaj, perswadowała Mu, to tylko trzy, pięć deka, dlaczego uważasz, że mi się nie należą? Na szczęście zmytygowała się i zaczęła dziękować za Julkę, za A... nie, A. jeszcze się nie pojawił, powinien, to prawda, on sam uważa, że była to najlepsza pora, żeby się pojawić i korzeń w zębie miałby w porządku, i nerki i sztuczne włókno... Więc za Julkę, za dolinę Jaworzynki w połowie kwietnia i za to, że chirurg, który ją badał w Instytucie Onkologii, pomylił się w diagnozie.

Po awanturze z panią Owidzką Janusz powiedział, że tkaniny nie są w stanie niczego ważnego wyrazić, to rozgrywki estetyczne bez treści, i w komisie na Nowym Świecie kupił Celinie aparat fotograficzny marki Nikon.

Już wiem... Już pamiętam, dlaczego podczas ostatniego spotkania towarzyskiego przypomniała jej się pożegnalna rozmowa z Paulą. Bo ludzie w sąsiednim pokoju naradzali się, jak stać się Żydami. (Książka miała być bez słów "wojna", "Niemiec", "Polak" i "Żyd"... W zasadzie idzie to nie najgorzej z wyjątkiem ostatniego słowa. Ktoś proponował zastąpić je cudzoziemcem w odróżnieniu od tuziemca, ale ludzie w sąsiednim pokoju nie naradzali się przecież, jak być cuziemcami).

One też nie używały tych słów, bo Paula chowała się za szafą przed przybyszami z księżycy, którzy pojawili się w mieście i szukali dzieci z czarnymi oczami. Były im potrzebne do uzyskiwania czerni ocznej: tylko oczna czerń nadawała się do napędzania ich silników. - Aha - mówiła Paula i wchodziła za szafę, kiedy rozlegał się dzwonek. Celina nie wątpiła, że "Aha" było zwykłą uprzejmością ze strony Pauli, która spory wysiłek wkładała w to, by im nie pokazać, ile rozumie.

Ludzie w pokoju obok naradzali się więc, jak być... co znaczyło, że nie było to zwykłe spiskowanie. Na zwykłych spiskowaniach rozważano zawsze, co byłoby najlepsze dla Polski. Dwie partie czy więcej, bo jeśli dwie, to jak powstrzymać obywateli, którzy zechcą mieć trzecią, jeśli dwie mimo wszystko, to na jakiej zasadzie, bo może branżowej, i co byłoby bardziej wskazane,

spokój czy krzyk, i jakie jest niebezpieczeństwo w ruchu masowym, a jakie w tłumie, i co zastaniemy po rozejściu się zmęczonego tłumu i po uprzągnięciu gilotyn... Ci spiskujący, starsi i w średnim wieku, zamartwiali się dosłownie o wszystko, używając najchętniej słów - dychotomia, pluralizm, alternatywa, consensus i scenariusze, ale jak powiadam, tego dnia Celina zastała skład zupełnie inny. Byli młodszy, nosili luźne swetry i chętnie siedzieli na dywanach.

- Już się nie boję - mówił chudy, blady chłopiec z rzadką, kędzierzawą brodą - Specjalnie czytam artykuły o syjonizmie, jak dziecko, które dotyka złego psa, i obserwuję własną reakcję. Nawet dziwię się. W sześćdziesiątym ósmym się bałem, a teraz, czytam, i nic...

- Jak skończyłam osiemnaście lat - zaczęła jedna z kobiet - moja matka powiedziała: wiesz, jest taka przykra sprawa, nigdy nie mówiłam ci, że jesteś...

- Znałem ich rodziców - zachichotał niedelikatnie ojciec Pauli. - Nie mówili dzieciom, kim są, bo myśleli, że to nie ma znaczenia. Oni budowali świat, w którym nie będzie miało znaczenia, kim kto jest. Oni nawet wierzyli, że już zbudowali ten świat... - Ojciec Pauli aż się rozkaszał z chichotu i Celina musiała podejść bliżej drzwi, żeby słyszeć.

- Dobrze się stało, że postanowiła mi powiedzieć, bo zaraz był sześćdziesiąty ósmy rok - ciągnęła kobieta i wtedy to Celinie przypomniał się pożegnalny spacer, i że Paula postanowiła przeżyć na przekór przybyszom z księżycy, którym była potrzebna oczna czerń małych dziewczynek. - No wejdz - popędzała Paulę, nawet kiedy obie wiedziały, że jest to pukanie Janusza. - A twoje oczy nie nadają się do ich silników? - pytała po jego wyjściu Paula. - A jego oczy?

- A wie ojciec, co mówiła, kiedy Stachowa zabierała ją od nas po wizycie szmalcownika?

- Czy ty, Celinka, nie za dużo pijesz? - zaniepokoił się nagle ojciec Pauli.

- W sam raz - uspokoiła go Celina. - Niebawem w ogóle nie będzie mi wolno...

(Naturalnie, że Celina pije za dużo.)

- Mówiła, żeby powiedzieć Januszowi, że ona jest. Najbardziej ze wszystkiego zależało jej na tym. Jeszcze od drzwi odwracała się, żeby mi przypomnieć: teraz już może wiedzieć o mnie, prawda? to mu o mnie powiedz. Powiedz to tylko... Że jestem... (Jestem... - zawiadomiła go na balu maturalnym, na który Celina przyprowadziła Janusza i zobaczyli się pierwszy raz. - Wiedziałeś, że jestem?)

- Ja też urodzę dziecko do przeżycia - postanowiła się pochwalić ojcu Pauli. - Jak jej matka.

Dopiła Cotnari i odstawiła kieliszek.

- Jak matka Pauli.

Jak jedna moja znajoma, której ojciec to wykombinował.

Będę musiała ją poprosić o bliższe wskazówki:

Czy moja matka urodziła mnie do przeżycia?

...- Opinia biegłych obejmuje następujące grupy problemów dotyczących śmierci Grzegorza Przemyka. Po pierwsze: określenie przyczyny śmierci. Po drugie: identyfikacja narzędzi. Po trzecie: rekonstrukcja okoliczności, czasu i miejsca powstania śmiertelnych obrażeń.

Przyczyną śmierci Grzegorza Przemyka stały się zmiany urazowe, które nasilały się stopniowo, przechodząc w fazie końcowej we wstrząs toksyczno-septyczny prowadzący do śmierci...

Wstrząsem nazywamy odczyn ogólnoustrojowy, który następuje, gdy siła urazu przekracza możliwości adaptacyjne ustroju. Chory, u którego rozwija się wstrząs, jest blady, szary, skóra jest chłodna i wilgotna, spada ciśnienie, chorzy są zubożeni na otoczenie.

Wersja zdarzeń, jakie miały miejsce w komisariacie, może w pełni odpowiadać wynikom badań lekarskich, a zatem nic nie sprzeciwia się przyjęciu tej wersji za prawdziwą. Grzegorz Przemyk uprzednio zdrowy, opuścił komisariat z zauważalnymi objawami chorobowymi...

Biegli nie widzą żadnego innego wytłumaczenia zachowania się Przemyka w komisariacie bez incydentów urazowych.

Narzędzia, jakie braliśmy pod uwagę: na pierwszym miejscu postawiliśmy obutą nogę, następnie piętę, pięść, łokieć, kolano. Obuta noga miałaby najlepsze warunki, żeby dokonać takich spustoszeń...

W czasie teraźniejszym tej książki Celina wjeżdża na jedenaste piętro i staje przed drzwiami z numerem 94. Są na nich dwa nazwiska, ułożone z liter wyciętych z gazety, niestarannie naklejone, jakby temu, kto naklejał, brakowało cierpliwości. Spieszył się... - myśli Celina. - Pewnie, żeby iść dalej (Potem pokażesz mi wodę, napijemy się jej. Schylone postacie zostaną a my pójdziemy dalej Rajskie jabłka w cieniu drzewa jeść będziemy Żadnego węża nie będzie, zostaną pod drzewem przytulone mocno postacie A my weźmiemy trochę owoców na drogę i pójdziemy dalej A my pójdziemy w kierunku ogromnej skały, powoli wspinać się będziemy...) Celina przygląda się napisowi i czuje na tych krzywych literach dotknięcie ręki niecierpliwego chłopca.

Paru liter brakuje, w słowie Przemyk brakuje...

"Hej! Jesteś tam? (A ja? to dobrze...)"

Tu, u nas, lato. Czy wiesz, że tu, u nas, mój wnuk już umie chodzić? Któregoś dnia złapał mnie mocno za palec i postanowił wyruszyć na spacer po mieszkaniu swoim chwiejnym, czaplinowskim krokiem, ale jego matka uznała, że powinien chodzić samodzielnie i wyrwała mój palec z jego ręki. Usiadł na podłodze i zaczął płakać. Zrobiło mi się tak smutno, że miałam ochotę usiąść koło niego na podłodze i rozplakać się z nim.



Szkoda, że nie możemy jeszcze pogadać, ty i ja, bo mam ci do powiedzenia parę rzeczy, na przykład, że trzeba żyć całą płaszczyzną...

Człowiek musi odejść od miejsca, w którym się urodził, i od dzieciństwa, by później do niego powrócić. Zwłaszcza jeśli ma ambicję zapisywania: zapisując - Musi powrócić do własnego dzieciństwa, bo stamtąd czerpie zdolność rozumienia reszty świata, nie - wiedzę o nim, tylko zdolność rozumienia go. Zatem niezmiernie ważne co, powracając, zastaje. Człowiek, który zastaje powietrze i przestrzeń, potrafi żyć całą płaszczyzną: myśleniem, uczuciami, skórą i sobą w przyrodzie. Człowiek powinien tęsknić do przestrzeni. Do własnego świata - porzuconego, czy może odebranego, w którym zapamiętał każdy jar, każde wymyte deszczem zapadlisko. I ambitniej powinien tęsknić, do światów odległych. Do łowienia ryb w rzece Erynginoł, powiedzmy, i ciągniętego wzdłuż brzegu tajmienia, i mijanych w drodze powalonych modrzewi z opuszczonymi gniazdami, orłów nad którymi latają pasikoniki z czerwonymi skrzydłami...

To nic, że człowiek ów nigdy nie widział opuszczonych gniazd orłów. Ważne, że potrafię tęsknić za nimi. Podobnie jak za jakimś wieczornym piknikiem w Kanadzie, na którym do jego obowiązków należałoby obracanie na rożnie prosiaka nad ogniskiem. Po powrocie człowiek ów opowiadałby, że my, tutaj, nie mamy należytych hierarchii wartości, bowiem w hierarchiach prawdziwych, najważniejsze jest, by prosiak nad ogniskiem był upieczony równomiernie. A już zwłaszcza, by brzuch, wyjątkowo cenny, bo nafaszerowany wyszukaną kombinacją serów i ziół, otóż by brzuch mu się za mocno nie rumienił. - A bakłażany? - spytałam z niepokojem. - Czy w kanadyjskim systemie wartości bakłażany nie występują? - Ależ są naturalnie, bakłażany otacza się wyjątkową troskliwością, rosną w otworach czarnej płachty, rozłożonej w ogrodzie... - odparł ów człowiek, włączając mnie tą informacją do hierarchii prawdziwie ważnych.

Doprawdy, uważam za dużą niesprawiedliwość powrót do dzieciństwa, w którym zamiast jarów i zapadlisk zastaje się ciasne zakamarki, pozbawione zapachów, kolorów i słońca. Może nawet pozbawione tlenu.

Próba odzyskania przestrzeni staje się wtedy skarpa. Cóż jednak oznacza fakt, że nie schodzi się o świcie nad rzekę z koszem do łowienia raków? nie brnie się do wyspy, którą miejscowi nazywają kępą, a która oddziela główny nurt? nie płynie się na drugi brzeg i nie idzie za kolejne kurtyny lasu, chociaż mówią, że tam jest pięknie...? Czy nie oznacza to, że braku tlenu w zakamarkach dzieciństwa nie da się uzupełnić nigdy później...? No i wtedy nie pozostaje nic innego jak zrekompensować to sobie przestrzenią w pionie. Na trasie od siebie do Stwórcy.

Hej!

Tam, u ciebie... Co z rzeką Erynginoł?"

W czasie terażniejszym tej książki zostawiłam Celinę pod drzwiami z numerem 94, żeby dać jej czas na przyjrzenie się krzywym literom, wśród których paru brakuje. Najwyższa pora zapukać do drzwi.

Niestety, Celina nie może tego zrobić. Nie może zobaczyć brakujących liter z prostej przyczyny: ja, pisząc, nie potrafię sobie przypomnieć, których liter nie ma. Poszła wobec tego sprawdzić do domu na Hibnera, wjechałam na jedenaste piętro i zobaczyłam słowa: B. Sadowska, G Przemek. Nic nie brakowało, litery były porządnie naklejone, nowe, czarne, chyba z letrasetu. Nie był to żywy napis, naklejony przez chłopca, który się spieszy. To był już tylko pomnik napisu.

Mogłabym teraz wymienić jakiegokolwiek litery, brakujące w dawnym napisie, któremu przyglądała się Celina. Na przykład RZ w słowie Przemek, ale nie mogę napisać, że rz, bo może brakowało y. Nie o to chodzi, że pic, rz nie jest przecież od Y ładniejsze... Tocząc walkę z faktami myślę niekiedy, że wygrywam. Że uda mi się opowiedzieć nie, jak było, lecz jak mogło lub jak powinno być. I zaraz się okazuje, że rzeczywistość znowu się do mnie zgłosiła. Książka jest czymś w rodzaju arki, w której trzeba zachować parę rzeczy dla kogoś ("w twoim czasie, u ciebie"). Zachować szafę, skarpe albo nieczekanie... Skoro więc rzeczywistość sama zgłasza się, to zwykła przyzwoitość nakazuje, by ją zachować jaka jest. Dokładnie taką.

Przyjrząwszy się krzywym literom, Celina - w czasie terażniejszym tej książki - naciska dzwonek, a widząc, że nie działa, puka do drzwi.

W pokoju jest półmrok. Ktoś gra z magnetofonu na gitarze, jacyś ludzie rozmawiają szeptem.

Celina siada na materacu i sięga po kieliszek.

Nie wie - powiedzieć coś, czy milczeć.

Celina nigdy nie wie, czy zachowuje się należycie w tym mieszkaniu.

Popatrz - napisała Barbara Sadowska do swojego syna - dawni i nowi znajomi żując coś opowiadają wrażenia z pogrzebu jesteśmy ich gumą do żucia którą obawiają się wypluć ale wygładzają paznokciem kolorowe papierki w czytelne historyjki obrazkowe...

Barbara Sadowska siedzi obok z papierosem, spod spódnicy sterczą jej sine kolana wątlej, niedorosłej dziewczynki.

- Jak wnuk? - pyta.

Nigdy nie zapomni zadać uprzejmego pytania. Przedtem pytała o Julkę, albo - córka będzie czy syn?, i pożyczyła Celinie sweter Grzesia, obszerny, bezpieczny, jedyny, w którym mieścił się brzuch córki Celiny.

- Kładziecie go na brzuchu? - pyta teraz. - To dobrze, Grześ od początku leżał na brzuchu. Podnosi się? Grześ też się zaczął wcześniej podnosić... - i przedstawia młodą kobietę obok: - Ostatnia kochanka poety, poznajcie się...

Nad głową Celiny wiszą dwa buty, zaczepione o żyrandol, jeden malutki, dziecięcy, drugi wielki, schodzony, ze startymi protektorami na podeszwach. Celina domyśla się, że to są buty Grzesia - pierwszy i ostatni. Domyśla się też, że to on gra z magnetofonu na gitarze.

Matka Grzesia lekko dotyka butów i zaczynają się kołysać, zaczynają maszerować w powietrzu - duży, schodzony, i haftowany, malutki, stąpają w powietrzu tuż nad głową Celiny.

Celina czuje, że ma trudności z przełykaniem śliny, ale czuje także w kieszeni aparat marki Olympus, który mieści się w dłoni.

Niestety, w pokoju jest za ciemno.

Chyba, że flesz, myśli, ale użycie flesza nie byłoby stosowne w pokoju, w którym mówi się szeptem.

Strofuje samą siebie za myśl o fleszu, ale szybko się rozgrzesza, ponieważ do zapisywania świata potrzebne jest jej światło. Na szczęście nikt niczego nie zauważył. Nikt nie wie, jak się oddziela od nich i z jaką łatwością, w sposób naturalny wręcz, jej organizm wytwarza bycie osobno.

Parę dni później wisiał u żyrandola tylko jeden but, ten pierwszy.

- Gdzie drugi? - spytała Celina.

Był dzień. Celina woli, kiedy u Barbary Sadowskiej jest dzień, bywa wtedy mniej ludzi i nie rozmawia się szeptem.

- Gdzie Grześ go chciał. W jego pokoju, na pianinie. Oba buty zostawił na pianinie, jak szli na Starówkę.

Celina zajrzała do pokoju Grzesia.

Dwa wielkie, schodzone buty stały na dawnym miejscu.

- Jak zawiadomił cię, że je chce tutaj?

- Zwyczajnie. Wieczorem wisiały dwa na żyrandolu, a rano wisiał jeden. Drugi stał przed pianinem.

- To dlaczego nie wszedł? - Celina stała się chyba natarczywa i Barbara S. musiała się zniecierpliwzić.

- Czy ty już całkiem upadłaś na głowę? Jak but mógłby wejść na pianino?

W czasie terażniejszym książki Celina wciąż siedzi na materacu z kieliszkiem w ręku i ostatnia kochanka poety zwierza się jej, że chciałaby uwierzyć:

- Jestem gotowa na przyjęcie Go, a On nie przychodzi.

Celinie przypomina się zdanie księdza-poety, że kto szuka Boga, ten Go już znalazł, ale milczy, tamta zaś opowiada o znajomych, którzy też bardzo pragnęli uwierzyć i nie potrafili. Na szczęście poznali pewnego człowieka, który im wszystko wytłumaczył:

- Widzę jak się zmienili. Są spokojniejsi, cichsi...

- Nie będą chorowali na raka - wtrąca Celina. - Profesor Koszarowski zapewnia, że nie chorują tylko ludzie pogodzeni z sobą, na przykład mormoni...

- Przyrzekli, że mnie też z nim pozanją. I że mnie też wytłumaczy wszystko. Poznać cię z nim?

- Nie trzeba - odpowiada Celina i myśli, że człowiek umiejący wytłumaczyć wszystko, jest na wagę złota w dzisiejszych czasach. Można by założyć z nim punkt usługowy dla osób pragnących pilnie uwierzyć... Celina z żalem uprzytamnia sobie, że nie ma komu powiedzieć o swoim, w czasach reformy gospodarczej naprawdę udanym pomysłem, ponieważ ludzie, wśród których od pewnego czasu przebywa, uznaliby podobny żarcik za gorszący.

Kilka dni później zrobiła zdjęcie pary zniszczonych butów na pianinie, ale było to zdjęcie ani smutne, ani ładne. Mimo należytego światła i długiego zdania w podpisie: "Grześ życzył sobie..." i tak dalej.

Bardzo dzielnie broniła się tego dnia przed podejrzeniem, że pomysł z zapisywaniem świata pozbawiony jest większego sensu.

Pierwszy aparat fotograficzny kupił Celinie Janusz. Był to aparat japoński marki Nikon - wszyscy mieli wtedy Praktiki albo Zorki, ale marzyli i Nikonie. Janusz zobaczył taki aparat na szyi francuskiego fotoreportera podczas wizyty de Gaulle'a w Polsce. Kiedy w Zabrze jakaś staruszka podeszła nagle do de Gaulle'a i pocałowała go w rękę, jeden z Francuzów szybkim ciosem rozerwał kordon milicji i błyskawicznie zrobił zdjęcie, które obiegło świat. Fotoreporter, co Janusz dobrze zapamiętał, miał na szyi aż trzy Nikony, z innym obiektywem każdy, i - co zrobiło na Januszu wrażenie największe - aparaty niedbale obijały się o siebie, a fotoreportera kompletnie nie obchodziło, że mają przez to zdezelowane ranty i zdarty lakier.

Zatem Janusz od razu wiedział, co należy kupić. Najchętniej kupiłby trzy Nikony i wszystkie by zawiesił Celinie na szyi z poleceniem niedbałego obijania w biegu rantów, ale po pierwsze aparat kosztował w komisie na Nowym Świecie czterdzieści tysięcy plus dwanaście za szerokokątny obiektyw, a po drugie - dokąd Celina miałyby tak biec na swoich przygrubych łydkach.

Znajomy fotoreporter Harry Weinberg, który obecnie fotografuje dla ściennych kalendarzy dziewczyny w futrach, a wtedy miał zamiar zapisywać świat, dał Celinie kilka lekcji. Doradził robić na początek osiemdziesiątką piątką, w dzień i unikając flesza. Odejść od poprawności można

dopiero w ciemni - tak się to robi, o tak - wsuwając rękę między negatyw i papier poruszał palcami z biegłością pianisty. Odejmując i dodając światła uzyskuje się zaskakujące rzeczy...

- Czy to nie picerstwo? - zatroskała się Celina.

- Trochę picu musi być - odparł i wyciągnął stary numer "Sterna", żeby pokazać Celinie zdjęcia, najlepsze jakie widział w życiu. Przedstawiały ludzi z afrykańskiego plemienia Nuba. Czarni mężczyźni w jaskrawo czerwonych czapeczkach malowali sobie twarze w zagadkowe wzory, nadzy, smukli wojownicy nawoływali się wśród skał, a nagie dziewczyny ze skórą wysmarowaną rdzawą farbą, od której odbijało się światło, tańczyły na piasku tajemniczy prozalny taniec. Zdjęcia, powiedział Harry W., robiła Leni Riefenstahl, ulubiona reżyserka Hitlera. Kiedy pojechała na pustynię, miała siedemdziesiąt lat. Podobno została przyjaciółką wodza plemienia Nuba.

Jak było do przewidzenia, Celinie całkowicie wystarczył jeden Nikon.

Fotografowała bez pośpiechu i ludzi, którzy się nie spieszyli.

Siedzieli przy stoliku w barze mlecznym i przez okno patrzyli na ulicę, siedzieli na przystanku i nie wsiadali do żadnego autobusu. "Czekanie" - nazwała Celina swój pierwszy fotoreportaż. Nawet podobał się w paru redakcjach, ale nie ukazał się, bo wywarłby na czytelnikach deprymujące wrażenie. Harry W. też pochwalił zdjęcia Celiny - Wstrzeliła się pani w to, co się robi na świecie. Teraz się robi surowo i powściągliwie, bo treść jest ważna, nie forma.

Celina ucieszyła się ze swojego wstrzelenia, zwłaszcza że jej poprzednim odkryciem jeszcze przy tkaninach, była forma, która jest ważniejsza od treści.

Zawiadomiła o tym redaktora Bijaka, któremu sprzedała kiedyś jedną z tkanin, a teraz chciała sprzedać esej młodego krytyka sztuki: - Czy wie pan, że w tym sezonie ważniejsza jest treść?

Siedziała w jego pokoju, na biurku leżał esej młodego krytyka pod tytułem "Kamienie nieba". - Czy wie pan - powiedziała - że jedne kamienie należą do nieba a inne do ziemi?

Zdaje się, że bardzo zależało jej na umieszczeniu tego eseju.

Do pokoju weszła dziennikarka i powiedziała, że przydałby jej się do wyjazdu w teren fotoreporter.

- Mogłabym pojechać - wtrąciła Celina. - Próbuję fotografować od pewnego czasu.

Wyglądała niezłe - była opalona, miała beżowo-brązowy makijaż, nosiła duże okulary bez oprawki i płócienną, obszerną spódnicę. Redaktor Bijak wspomniiał, że jej tkanina z małym pejzażem podoba się znajomym i chętnie kupiłby drugą, z wypukłego sznurka, z dwiema płaskimi postaciami. Celina uśmiechnęła się i powiedziała, że tkanina nie jest do sprzedania, a wtedy

redaktor się uśmiechnął i zauważył, jak trudno jest o miejsce dla młodego nieznanego jeszcze krytyka sztuki.

- Tak...? - powiedziała Celina i zawahała się.

Oboje z dziennikarką szybko wyjaśnili, że to naprawdę był żart i nazajutrz Celina przyniosła do redakcji próbne zdjęcia; przedstawiały niemłode i nieszczupłe poetki-robotnice czytające na głos swoje wiersze.

Parę dni później pojechały razem w okolice Dąbrowy Górniczej, do młodej nauczycielki, która cierpiała na katar sienny; szyła sobie bluzki, których nie mogła nosić, bo nie robiła dziurek do guzików; siała w ogródku kardy, bo twardo brzmia, i brokuły, bo brzmia matowo i karmiła myszy ciastkami sułtańskimi.

Siedziały w trójkę w dużym i smutnym pokoju. Celina fotografowała, a dziennikarka rozmawiała z nauczycielką, potem Celina schowała aparat, wyszły do ogrodu i nauczycielka narwała im przed domem moreli. Pożegnali się i poszły do PKS.

W drodze do przystanku dziennikarka mówiła o nauczycielce Celina natomiast opowiadała o eseju młodego krytyka, który ma wrodzoną wadę serca i należy mu pomóc.

Opowiadała, jak poznała młodego krytyka sztuki.

Było to na komisji ocen, której przedstawiła swoje kolejne tkaniny. - Są bezbłędne - oświadczył obecny tam krytyk. Celina, naturalnie, ucieszyła się, ale krytyk dogonił ją na ulicy i dodał, iż stare Indianki specjalnie zostawiają w swoich tkaninach błędy, żeby mogła przedostać się przez nie dusza.

- Dusza przez błędy? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Naturalnie - roześmiał się krytyk i też się zdziwił, że Celina nie wie rzeczy tak oczywistych.

- Jak wygląda młody krytyk sztuki? - spytała dziennikarka.

- Ma żółte oczy. Za szybko chodzi. Znajomy lekarz spytał mnie, czy nie jest infantylny, bo przy wrodzonym zwężeniu aorty głównej to się zdarza.

- A jest?

- Trochę - skinęła głową Celina.

- Co to za lekarz?

- Z Łodzi. Leczył mojego teścia... - zamilkła. - Leczył teścia mojego męża... - znów się zaplątała. - Leczył jednego znajomego z zapalenia płuc, odwiedzałam go i przy okazji pokazałam lekarzowi rentgen tego chłopca. Podniósł kliszę pod światło i zapytał, czy nie jest infantylny.

- Żółte oczy? - zdziwiła się dziennikarka.

- Tak. Jedna malarka, starsza ode mnie, która go widziała, mówi, że to są oczy jak zeschnięte liście. Jak szklane liście. Albo jak jarzębiak. Moim zdaniem są po prostu żółte.

- Nigdy nie widziałam żółtych oczu...

- Stanowczo za szybko chodzi. Właściwie biegnie. Ta malarka zobaczyła go, jak tak biegnie i powiedziała, że zaraz uniesie się ponad podłogę. Moim zdaniem to nie jest żadne unoszenie się, tylko zwykły, zaaferowany trucht. W dodatku nie mam pojęcia, dokąd tak się spieszy. Wprowadza niepotrzebny niepokój, jakby był w przelocie i miał za chwilę na zawsze zniknąć.

Celina mówiła z niechęcią, ale nie przestawała mówić. W pociągu dodała, że ta malarka, starsza od niej, radziła jej wesprzeć się niepostrzeżenie na chłopcu i przelecieć z nim parę metrów, kiedy tak unosi się nad podłogą.

- Na człowieku z wadą serca? - dziennikarka obruszyła się. - Poza tym jakby to wyglądało, młody krytyk z oczami jak szklane liście i ty, za mała, za ciężka...

- Spłaszczasz - skrzywiła się Celina.

Wkrótce potem spotkały się w teatrze, dziennikarka była z córką, Celina z młodym człowiekiem, płowym, bladym, w jasnokremowym, białym prawie garniturze z kamizelką - co było osobliwe, bo wszyscy chłopcy w jego wieku nosili wtedy zielone kurtki. Miał mały plecak, którego nie zdjął z ramion do końca przedstawienia, i laskę.

- Popatrz, to Celina - powiedziała dziennikarka córce.

- Młoda.

- W moim wieku.

- Ale wygląda młodziej. To jej syn?

- Nie - pospieszyła dziennikarka z wyjaśnieniem. - To krytyk sztuki bez etatu i ze zwężoną aortą.

- Co może mieć w tym plecaku?

- Pewnie skrzydła.

- W takim małym plecaku?

- Bo to są skrzydła składane, używa ich czasem zamiast wachlarza.

- Dobrze, że nie ty z nim jesteś - powiedziała córka, a dziennikarka uśmiechnęła się ze spokojnym poczuciem wyższości.

W czasie terażniejszym tej książki Celina spotyka się z A. Profesor A. dzwoni zwykle na początku tygodnia. Wylicza zajęcia jakie czekają go w najbliższym czasie w Akademii, sądzie, u antropologów, w Towarzystwie Lekarskim, poza Warszawą i w Wiedniu, i wynika z tego, że jest człowiekiem zajęтым. Spóźnia się na spotkania, za to już od drzwi biegnie do stolika, już jakby wychylony ku Celinie, cały w pośpiechu i tęsknocie. Celina nauczyła się patrzeć wtedy na A.

współczującym, ciepłym uśmiechem. Po jej uśmiechu A. przesuwa się bliżej i dotyka pod stolikiem kolan Celiny.

Czasami, kiedy jest szczególnie zmęczony, mówi, że spotkali się za późno. Celina lubi ten temat, bo oznacza, że A. chciałby spędzać z nią życie i razem z nią się stawać.

Niestety, oznacza to również, że ponieważ w porę się nie spotkali, w życiu A. istniały przez długi czas ich niebycia inne kobiety. Celina jest o nie zazdrosna i każe A. przysiąc, że ona i tak jest najważniejsza z nich.

Tego jej mało. Pyta, czy on ją kocha najbardziej.

Kiedy A. mówi, że najbardziej, zaczyna krzyczeć, bo A. kłamie. Nikogo się nie kocha najbardziej, albo przeciwnie, każdego, kiedy jest, kocha się najbardziej.

A. się z tym zgadza. - Widzisz, jaka jesteś inteligentna, najbardziej ze wszystkich.

Chociaż Celina nie chce być inteligentna, tylko najbardziej kochana.

Celina nie mówi nikomu, że jest w ciąży. Dziecko jest jej. Julka ma swojego syna, Janusz ma swoje bulterriery, A. ma czaszki. Wszyscy mogliby się bez niej obejść. Od kiedy Celina opowiada co słyhać "tu, u nas", może się obejść bez nich.

Zacząła opowiadać mu, jak tylko zrozumiała, że istnieje.

Gdziekolwiek jest, ma w torebce, razem z propranololem na arytmie i hydrocortisonem do oczu, długopis i zeszyt.

- Na pierwszej stronie zeszytu napisała przed trzema tygodniami - "Hej, jesteś tam?"

Nie zwraca się do niego, schowanego w jej brzuchu, to byłoby śmieszne, tylko do niego za dwadzieścia albo za trzydzieści lat. Sama nie wie dokładnie, jaki to czas, może wszystkie czasy...

Wyjmuje ten zeszyt w pociągu albo w pokoju hotelowym, albo na korytarzu sądu. Píše parę zdań, a jeśli nie ma nic do opowiedzenia, czyta pierwsze słowa: "...Jesteś. To dobrze. A ja?"

Już wie, że jest, że są, że będą oboje. Uspokojona chowa zeszyt do torebki.

Parę dni po rozmowie o błędach starych Indianek młody krytyk zadzwonił do Celiny i zaproponował jesienny spacer, najlepiej nad Wisłą. Pojechali na rozlewiska za Wał Miedzyszyński. Usiedli na zeschniętych liściach, pod drzewem i otworzyli butelkę Cotnari. Było ciepło. Młody krytyk wyjął ze swojego plecaczka parę książek i powiedział, że zależy mu, by Celina je przeczytała. Celina nie знаła żadnej i nie słyszała o ich autorach. Była zdziwiona, że krytyk czyta takie książki. Jedna była po niemiecku, więc krytyk ją streścił. Według chasydów, mówił - Celina także o chasydach nie słyszała nigdy - po wybuchu pierwszego świata, jego drobinki rozproszyły się i spadły na wszystko, co istnieje, na gwiazdy, planety, ludzi, kamienie, strumyki, rośliny i zwierzęta. W tych iskierekach, które są wszędzie, obecny jest wszędzie Bóg. Celina rozejrzała się po



zeschniętych liściach, piasku i wodzie, popatrzyła na plecaczek krytyka i na swoją własną opaloną jeszcze skórę, popiła Cotnari i powiedziała - Wiem. Wiedziałam zawsze.

Drugą książkę zabrała do domu. Były to pisma Edyty Stein - siostry Teresy Benedykty do Krzyża, zagazowanej w Oświęcimiu. Celina przepisała sobie jej list z 26 marca 1939 roku. Był to list do Matki Boskiej.

"Matko droga - pisała Edyta Stein - proszę mi pozwolić oddać się Sercu Bożemu w prześlągalnej ofierze, by Bóg złamał panowanie szatana bez nowej wojny światowej... Chciałabym to oddanie uczynić jeszcze dziś, bo bije już dwunasta. Wiem, że jestem niczym, ale Jezus tego chce i z pewnością wiele dusz do siebie powoła".

Biedna, naiwna Stein. Sądziła, że Bogu będzie zależało na niej jednej. Jemu, który mógł mieć od ręki sześć milionów. Już raczej powinna Mu zaproponować wiadome liczenie: skoro zakończył wojnę dla tamtej, liczącej do miliona, nie zacząłby jej może dla liczącej do sześciu milionów Edyty Stein...

Celina powiedziała to na następnym spacerze młodemu krytykowi sztuki. Opowiedziała mu też o czerni ocznej, niezbędnej do napędzania silników, i o ojcu Pauli, który mówi, że Papież modli się jak starzy Żydzi, kiedy się nie wstydzi Boga. Nie opowiadała o tym nikomu. Krytyk słuchał z niezwykłą uwagą, wręcz zachłannie i śmiał się, kiedy Celina miała ochotę się śmiać, i milczał, kiedy Celina nie miała ochoty mówić.

Celina dziwiła się, że krytyk, o tyle młodszy od niej - o ile właściwie? o trzynaście lat... ależ nie, o czternaście... wiedziała, że szachruje i tak, więc dała spokój arytmetyce - rozumie rzeczy, których wcale rozumieć nie powinien. Kiedy powiedziała lekarzowi w Łodzi - pokazała mu kolejny elektrokardiogram krytyka, który lekarz oglądał w milczeniu i dłużej niż zwykle - że krytyk wszystko rozumie, lekarz powiedział: - To oczywiście, przy takim zniekształceniu aorty głównej, które się pogłębia.

Krytyk mieszkał kątem, wśród stosów zakurzonych książek i Celina tłumaczyła mu, że to na aortę bardzo niezdrowo.

Krytyk miał młode i piękne znajome o długich włosach. Wozily go swoimi samochodami, a siedząc przy otwartym oknie auta, odrzucały na wietrze te włosy lekkim dmuchnięciem albo ruchem głowy. Czasami krytyk dzwonił do Celiny z ich mieszkań. Pewnego ranka zadzwonił z łóżka dziewczyny, kiedy wyszła do kuchni parzyć kawę. Powiedział, że jest mu smutno i nudno i że ma Celinie mnóstwo do powiedzenia, ale Celina skarciła go, bo wobec dziewczyny parzącej kawę telefon ten nie był w porządku.

Krytyk bardzo często dzwonił do Celiny. Idąc Krakowskim Przedmieściem dzwonił z wszystkich automatów po drodze. Kiedy miał w jakiejś podróży przesiadkę, dzwonił z automatu na

dworcu. Czas wreszcie - mówił - jabłko zerwane przez Ewę odwiesić na miejsce, nie zwracając nim sobie dłuższej głowy. Celina ze swej strony mówiła, że czas zrobić kolejny rentgen serca z kontrastem i pokazać lekarzowi w Łodzi.

Krytyk czytał Celinie swoje szkice o malarstwie, w których pisał o sztuce w ogóle, a nawet w ogóle o świecie. Celina opowiadała krytykowi o chłopcu, którego fotografowała do tekstu dziennikarki: zażądał od wojewody okupu, grożąc zatruciem cjankiem wody w całym mieście. Banknoty okupu miały być używane, zapakowane w szary papier i złożone do pierwszego konfesjonaułu po lewej stronie o godzinie dziesiątej. Celina sfotografowała chłopca w rozmównicy więziennej na tle krat, a jego narzeczoną na tle kupionej okazyjnie kamionki. Kiedy indziej opowiedziała krytykowi o karle, który tłumaczył, ile korzyści wynika z jego wzrostu. Idąc łąką ma bliżej do kwiatów, idąc lasem ma bliżej do grzybów, upadając ma bliżej do ziemi, na trumnie oszczędzi ze trzy metry bieżące sośniny i mógłby zagrać w filmie Jana Matejkę.

Po wydrukowaniu reportażu o karle z jej zdjęciami, Celina powiedziała dziennikarce, że pisze o sprawach nieważnych. - Twoje reportaże - mówiła - przypominają misterne obrazy, malowane pędzelkiem na ścianie. Może ci być głupio, kiedy się okaże, że to jest tylko ściana wagonu i kiedy wagon odjedzie i ci sprzed nosa razem z obrazkami. Może się okazać, że nie pędzelek był potrzebny, tylko coś całkiem innego...

- Co mianowicie?

- Nie wiem... Gwizdek, albo wręcz syrena alarmowa...

- Czy i takie rzeczy wie się dzięki pogarszającej się aorcie? - spytała dziennikarka i dodała, że odtąd Celina nie musi robić żadnych zdjęć do jej reportażu. Ani Nikonem - ani gwizdkiem - ani syreną alarmową - niczym - niczym - powtarzała z irytacją, która zaskoczyła obie, i chyba także krytyka, bo już następnego dnia Celina dzwoniła z zapewnieniem, że doprawdy nie chciała jej urazić.

Celina nigdy nie dotknęła ręką młodego krytyka, choć parę razy miała ochotę pogłaskać go po policzku.

Nigdy nie myślała o tym, co robi z dziewczynami o długich włosach, zanim wychodzą z łóżka parzyć kawę.

Pewnego dnia krytyk powiedział Celinie, że malarka, ta, która zauważyła oczy jak szklane lńcie, załatwi mu w Szwecji operację serca.

Pewnego dnia powiedział, że malarka jest gotowa pojechać do tej Szwecji razem z nim.

Na wernisażu malarki Celina zobaczyła bardzo piękny portret młodego krytyka sztuki. Nad jakąś łąką, czy wodą, unosił się w białym ubraniu, z plecaczkiem na ramionach i laską w rękę.

Tego wieczoru Celina położyła się do łóżka i dygocząc w gorączce zaczęła coś mówić, kogoś o coś prosić - zamierzała prosić tę, o której krytyk mawiał - "nie żadna Maria, tylko Miriam", nie mogła jednak zacząć od "Słuchaj, Miriam". Byłoby to niegrzeczne, poza tym Miriam zawsze ją onieśmiewała. Po namyśle zrezygnowała, także ze Stein: zajęta losami świata, z pewnością przyjąłaby jej sprawę obojętnie, jeśli nie z niesmakiem. Miała coraz większą gorączkę, więc wzięła aspirynę, wróciła do łóżka i postanowiła zgłosić się do swojego zwykłego Rozmówcy. Zawsze zaczynała od uprzejmego - "Słuchaj, gdybyś uznał za stosowne...", ale tym razem dała uprzejmościom spokój i przystąpiła bezceremonialnie do rzeczy. Słuchaj, powiedziała. Uwolnij mnie. Musisz to ode mnie zabrać. Rozumiesz? Wyjmij, wytnij, wypal, jak ci wygodnie, byleby tego nie było. Najlepiej - dodała przymilnie - gdybyś od razu... Ja zasnę, obudzę się rano i Tego nie będzie, chcesz? No - proszę Cię - -

Trzęsąc się mimo aspiryny (trzęsała się nie od dreszczy, tylko z gorąca) znów wstała, wzięła relanium i poszła spać.

Obudziła się spocona i słaba. Leżała nasłuchując czujnie. Potem podeszła do okna, otworzyła je i powiedziała przed siebie na głos; - Dziękuję Ci. Bardzo Ci dziękuję. To było naprawdę ładnie z Twojej strony.

Fotografowanie szło Celinie coraz lepiej. Dziennikarka podsunęła jej ideologię przedstawiania świata poprzez szczegół: - Trzeba podzielić świat na najmniejsze cząsteczki, usunąć i wszystko złożyć na powrót w zagęszczoną całość.

- Czy otrzymuje się świat prawdziwy? - spytała Celina.

- Otrzymuje się prawdziwszy od prawdziwego.

Ich świat składał się z niesłychanej ilości swetrów, wąsów, kremplin, matowych brokułów, karawanów cichobieźnych, małych fiatów, zwiędłych gerber, sztucznych szczęk, cjanku, tapiru, sznurów od żelazka, różańców, przecenionej kamionki, fasolki po bretońsku, karkowych schabów... i budził zaskakującą niechęć władz. Malarka Teresa Murak wydrążyła kiedyś w ziemi owalną jamę czy lej, a obok usypała wzgórek dokładnie powtarzający kształt wgłębienia. Było to i zagadkowe, i niemiłe, jakby ziemia poruszyła się, jakby się otwarła w niej czeluść albo grób. Okoliczni chłopci, szwedzcy zresztą, bo to się w Szwecji działo, nie chcieli na rzeźbę patrzeć. Sprowadzili spychacz i zniszczyli ją - jedną, na całym Biennale.

Otóż w ich tekstach i fotografiach nic niemiłego się nie otwierało, ani grób, ani czeluść, a władze nakazywały niszczenie kolejnych zbiorów reportażu dziennikarki, ilustrowanych zdjęciami Celiny.

Skład pierwszej książki pt. "Szczęście Marianny Głaz" wrzucono do kotła i stopiono metal, drugą pod tytułem "Katar sienny" już wydrukowaną, pocięto.

Dziesięć tysięcy książek cięli specjalnymi nożami, zawieszonymi jak gilotyna.

Od drukarza, który wchodził w skład tnącego komando, dowiedziały się, że znalazły się w niezasłużenie dobrym towarzystwie: poezji Josipa Mandelsztama. Z tym, dodał drukarz, że Mandelsztama cięli wszerek, a ich książkę po przekątnej. Zastanawiały się, jak lepiej. I czy istnieje metafizyka cięcia. Metafizyka niszczenia tak, ale czy cięcia.

Pocięte książki mieli się następnie w specjalnym urządzeniu, zwanym wilkiem. Właściwie nie mieli się, tylko rozszarpuje na coraz drobniejsze szczątki. Woda tworzy z nich później gęstą, szarą masę, zwaną pulpą, która nadaje się już tylko na papier do pakowania.

Koledzy redakcyjni dziennikarki zaaprobowali Celinę. Jej obszerne spódnice były w dobrym stylu, jej móż dostał na wystawie psów w Hannoverze złoty medal za bulteriera, jej zdjęcie z cyklu "Czekanie" zamieścił "Newsweek" i kupiła sobie sporą działkę na skarpie, niedaleko Różana. Takie rzeczy bardzo ceniło się w ich redakcji.

Czasami Celina przychodziła na poniedziałkowe zebrania i słuchała dyskusji o...

O czym?

Ładna historia. Nie ma pojęcia o czym, chociaż to musiało być inteligentne i ważne.

Dziennikarka też nie pamięta.

Spytała swoją koleżankę, Dankę Zagrodzką... Nic. Za to obie z Danką pamiętały, jak później, po wszystkim, żegnały się na korytarzu. Przy drzwiach wejściowych stał milczący pan po cywilnemu - redaktor Bijak nazywał go pułkownikiem - który miał zamknąć redakcję. Podzwaniał niecierpliwie kluczami i pouczał, że ogłoszono stan wojenny, a pismo się zawiesza. Ktoś powiedział - Cokolwiek stanie się, my się już w tym składzie nie spotkamy. Ludzie się żegnali, a dziennikarka i Danką Zagrodzka zaczęły płakać. Bijak uspokajał je, przesraliśmy, mówił, no trudno, mieliśmy taką szansę i ją przesraliśmy... - ale płakały, każda w inną klapę jego marynarki, coraz głośniej. Był to płacz w różnych sprawach. Danką w lewej klapie, płakała za "Solidarnością", a dziennikarka? - Co płakało w tobie? - spytała Celina. - Może twoja... nie ona to, twoja zetempowska dusza, rozszlochała się w prawą klapę marynarki redaktora Bijakka za socjalizmem, który przesraliśmy, choć mieliśmy taką wielką szansę...?

Ładna historia. Zetempowska dusza dziennikarki. Za socjalizmem. W obecności milczącego pułkownika po cywilnemu.

Ale klapy zdarzyły się później, rok czy dwa po zebraniach, na których rozmawiali o czymś ważnym.

Między dwoma kolejnymi zebraniem, mniej tłoczonymi niż inne, bo był sierpień 1980 (Sierpień - pisano później), odjechała ściana z finezyjnymi obrazkami.

Głupie uczucie.

Co ciekawe, Paweł (mieszkał u Celiny w stanie wojennym przez jakiś czas i został ojcem jej wnuka), opowiadał o tym dość podobnie: - Mieliśmy strajk, wiedziałem co robić, w porządku. Potem, kurcze, patrzę, już trzydzieści zakładów, już trzysta, miliony, kraj, kurcze, myślę, historia ucieka, nie dogonimy, no nie ma szans... A w końcu bądźmy szczerzy: za sprawą takiego Pawła wszystko ruszyło sprzed nosa, jemu i im.

- Musimy się spieszyć - powiedziała Celina, i na jej fotografiach zrobiło się energicznie i rojno. Ludzie w białoczerwonych opaskach krzżeli się po halach, w których wisiały napisy "Strajk" i flagi narodowe, a czasami w wielkim uniesieniu coś śpiewali. Byli odświętni i radośni.

- To święto - zauważyła Celina. - Przestało im być smutno i nudno, nieprędko zechcą powrócić do nudy i beznadziejności. Jeden socjolog obliczył później, że właśnie wtedy, pierwszy raz od powojennych trzydziestu paru lat, spadła w Polsce o połowę liczba samobójstw wśród robotników wielkoprzemysłowych.

Trzymając w rękach aparat Celina nie musiała śpiewać ze wszystkimi "Boże coś Polskę" ani "Nie rzucim ziemi skąd nasz ród..." i wstydliva właściwość jej organizmu, który w każdej zbiorowości wytwarza bycie osobno, została niedostrzeżona. Na szczęście, bo jest to przypadek nad wyraz przykra. Widywałam ludzi, u których ów stan nasilał się tak bardzo, iż chwilami całkiem przestawali być. Osoby stojące obok omijały ich wzrokiem, czyniąc to bez ostentacji. Po prostu ich nie widziały. (A bohater Aragona, który nie zobaczył pewnego dnia siebie samego, odbicia własnej twarzy w lustrze?)

Jak mówię - w przypadku Celiny nic podobnego się nie zdarzyło, tyle że dopadła ją ta postać polskości, z którą czuła się najgorzej. Celina składa się z samych wątpliwości, a polskość ta - ze zdań twierdzących. (Z wyjątkiem, rzecz prosta, jednego zdania przeczącego: nie rzucim ziemi skąd nasz ród). Dlatego Celina lepiej czuła się wśród ludzi, których czas minął. Nie było dookoła nich uniesienia ani tłoku.

Najważniejszy czas może trwać rozmaicie.

Trzy tygodnie, jak w życiu Marka Edelmana - tyle trwało powstanie w getcie.

Cztery lata, jak w życiu Jacka Kuronia - tyle trwał K\$oSr.

Trzy dni, jak w życiu Lechosława Goździka - tyle trwał Październik.

Parę minut, jak w życiu Anny Walentynowicz, Suwnicowej. Tyle trwało wejście na koparkę, przeczytanie haseł "Żądamy przyjęcia do pracy Anny W..." i wygłoszenie słów "Dziękuję wam bardzo".

Ludziom trudno przyjąć do wiadomości, że mija ich czas. Długo jeszcze krzżają się, dokądś się spieszą, szukając miejsc, w których okażą się potrzebni. Upewniwszy się, że takich miejsc nie ma, zapadają powoli w łagodny smutek albo na schorzenia gardła, powtarzające się z

niewyjaśnionych przyczyn. Ich to więc fotografowała Celina najchętniej i nadała cyklowi tytuł "Czekanie II".

Myślę, że kiedy znowu coś będzie się w Polsce dziać, owi świąteczni i z opaskami też się okażą niepotrzebni. Dookoła nich zrobi się przestronnie, zaś ludzie, dla których czas właśnie się rozpocznie, zaczną od pytania "I dlaczego przesraliście wszystko z taką łatwością?" - Jak mnie pytają młodzi Żydzi z Izraela - mówi doktor Edelman. - No i dlaczego, pytają, daliście się tak wymordować w tym getcie?

Jak mówię, fotografowanie szło Celinie coraz lepiej.

Ktoś (Vonnegut, oczywiście) napisał, że jego ojciec na tamtym świecie ma dziewięć lat, zanudza wszystkich infantylnymi rysunkami, a matka proszona o interwencję, odpowiada, że ma lat szesnaście i nie zna ani chłopca, ani tym bardziej jego dorosłego syna.

Pomyślałam, że można by sobie wybierać wiek na Tam na naszych zasadach emerytalnych: dwa najlepsze lata z całego życia, albo jeden rok, ostatni.

Byłam ciekawa, które lata Celina by wybrała. Odparła, że nie wie. Po namyśle dodała, że wie, jakie wybrałaby na Tam rzeczy: skarpe, aparat Olympus, wino Cotnari i solarium w słoneczny, lecz nie upalny dzień.

Przypomniałam to sobie, kiedy się okazało, że Celina - w czasie terażniejszym tej książki - zostawia w szatni sądu torbę z ręcznikiem i po rozprawie jeździ na basen. Mimo piątego tygodnia ciąży. Jej sprawa. Twierdzi, że w solarium tkwi metafizyka przemijania. Nie sędzę, by wyjaśniało to maniackalny pośpiech, z jakim biegnie w stronę basenu, wyjmuje ręcznik i układa się do słońca. Ścisłej - zwraca się do słońca, gestem, który przypomina magiczny, proszalny taniec dziewcząt z plemienia Nuba, z fotografii Leni Riefenstahl.

Celina kładzie się w tym samym miejscu od dwudziestu pięciu lat. Pod murkiem, na lekkiej pochyłości, niedaleko prysznic, w pobliżu tych samych kobiet. Dziwi ją nie fakt, że ona pamięta te kobiety sprzed dwudziestu pięciu lat, lecz że one ją pamiętają. Na przykład, że ją pamiętają, jak przychodziła z Paulą. - Z tą ładną czarnulką, co się teraz dzieje? - pytały po jej wyjeździe przez parę lat, aż dały spokój. Pamiętają, jak leżąc na brzuchu rozkładała rysunki kormoranów. Jak przychodziła z Julką-licealistką i Julką-studentką. - Narzeczony Julci pisze coś? - pytały po wyjeździe Pawła - Pisze - kłamała Celina, aż dały spokój i Julce.

Rano Celina zadzwoniła do Julki, czy nie poszłaby z nią na solarium, ale odpowiedziała szorstko, że nie ma z kim zostawić dziecka. Celina zaproponowała przymilnie, że zostanie z dzieckiem, ale rozzłościło to Julkę jeszcze bardziej i Celina zrezygnowała z dalszych propozycji.

Celina jest zdania, iż metafizyka solarium bierze się z dojmującej obecności czasu, niemożliwej w żadnym innym miejscu. Najstarsze kobiety dzieli od najmłodszych pięćdziesiąt lat i

te lata widzi się jednocześnie. Kiedyś obie z Paulą oglądały z zachłanną ciekawością wszystko, co ma się po kolei stać; płaskie piersi i niezachęcająco sterczące biodra, spokojne, gładkie ciała po trzydziestce, kłopoty z konsystencją ciała, które traci gładkość i staje się porowate i gąbczaste, i to dziwne oglądały, co na końcu ma się stać, kiedy robi się za dużo skóry. Ta skóra zbiera się w różnych miejscach w pustce, skurczone woreczki. Linie, przedtem niewidoczne, układają się w gęsty, delikatny rysunek, który przypomina powietrze pod krągiem polarnym w silny, pięćdziesięciostopniowy mróz. Wisi tam wtedy mleczna mgła, a na jej tle pojawiają się cieniutkie, delikatne rysunki, pociągnięte srebrem. Jest to szron na wszystkim, co unosi się w powietrzu, a co przedtem było niewidoczne. Rysunek na mlecznej mgle zapowiada ludziom Północy Mrozy, jak rysunek na skórze starość.

Przyglądały się z Paulą wszystkiemu przez całe pięćdziesiąt lat i przyrzekały sobie, że z nimi nie stanie się to nigdy.

Celina rozkłada na macie ręcznik i zwraca się do słońca. Poranna rozmowa z córką tkwi w niej przez cały dzień. Spróbowała kiedyś wyperswadować Julce jej ton, pełen urazy i złości. - Krzyczysz na mnie, bo jesteś rozżalona na świat. Zastanów się, czy to stało się przeze mnie,? Na co Julia, z równym spokojem, odpowiedziała: - Przez ciebie, tak. Paweł mnie nie chce, bo ciebie nie chciał ojciec. No, nie chciał cię, ożenił się z tobą, bo wyjechała Paula. (Celina zrozumiała, że zwierzenia, czynione córkom, powinny mieć rozsądne granice). Wynikowa jesteś - ciągnęła Julka. Słowo "ynikowa" usłyszały od architekta, który tłumaczył, że ich mieszkanie wyniknęło z kombinacji zsypów, rur i wind i nie miało prawa być inne. - Wyniknęłaś z cudzych decyzji: Pauli, Janusza, jakiejś tkaczki, jakiejś dziennikarki z "Polityki"... (z dziennikarką z "Polityki" Julia przesadziła stanowczo, jej wpływ na życie Celiny doprawdy był minimalny) i ja to mam po tobie. Takie rzeczy dziedziczy się - nie wiedziałaś? Po tobie to mam! Tę niechcianość! Po tobie! Rozumiesz teraz?

Celina rozumiała.

Było jej przykro, że wyposażyła córkę w tak fatalny gen - niechcianość - bycia niechcianą - niebycia chcianą - próbowała dość bezsensownie skorygować nieudany neologizm.

- To jak wreszcie rozumiesz - Julka przestała krzyczeć i odwróciła się od drzwi - jak rozumiesz wszystko, weź aparat i zrób zdjęcie. No, rób. To będzie twoje zdjęcie na dzisiaj.

Celina wyjęła aparat i zrobiła Julce zdjęcie. Podpisała: "Niechcianość dziedziczy się po matce, jak ujemne Rh albo jak hemofilię".

Celinie przypomina się pytanie o dwa lata na Tam. Sprawdza, czy leży idealnie prostopadle do słońca i czy należycie odgarnęła włosy.

Po obu jej stronach kładą się od pewnego czasu dwie bliźniaczki. Mają płaskie piersi, kanciaste biodra, przedziałki pośrodku i koszyczki z warkoczy, upięte wielką ilością kwiatków, zuczków i biedronek. Obie jednocześnie opalają plecy i Celina widzi je wtedy nad sobą, jak na nią patrzą uważnie, symetrycznie, z dwóch stron, z dziwnie wyraźnymi zuczkami we włosach.

Któregoś dnia spytały, czy Celina może się zamienić miejscem z jedną z nich.

- To jest od dwudziestu pięciu lat moje miejsce - powiedziała Celina i bliźniaczki przyjęły jej odmowę z szacunkiem i przerażeniem.

Celina patrzy na nie bez sympatii i bez zazdrości. Jak na tamte dwie, które przyrzekały sobie, że "z nimi nie stanie się to nigdy", których od dawna tutaj, ani nigdzie indziej, już nie ma. Które kiedyś leżały na lekkiej pochyłości betonowej płyty, pod murkiem, niedaleko prysznicza.

Ciekawe, czy w takiej betonowej płycie zostaje ślad po nich...

Ciekawe, czy już sobie przyrzekły, że z nimi nie stanie się to nigdy - tym razem myśli o bliźniaczkach.

Z kolei myśli, że jeszcze nie przeżyła swoich dwóch lat na Tam i że się jej dopiero zdarzą.

"Hej, jesteś?"

Zauważyłam, że pani, która pisze o mnie książkę...

Czy wspominałam o książce? Tu, u nas, ma dopiero sześćdziesiąt parę stron, ale w twoim czasie jest od dawna skończona. Ciekawam: wrzucili do kotła i stopili, czy pocięli ją? A jeśli pocięli to wszerek czy po przekątnej? A może w twoim czasie, u ciebie, szaleje wolność i książek się nie niszczy?

Zauważyłam więc, że autorka owej książki nadużywa od jakiegoś czasu paru słów. Na przykład słowa metafizyka. Pojawiła się przynajmniej czterokrotnie: metafizyka cięcia, niszczenia, przemijania i solarium. Za często ich używa i za łatwo, co dzisiaj powszechne. Wszystko tak się zdemokratyzowało, że każdy chce mieć prawo mówienia o najważniejszym: o Bogu, czasie, śmierci, samotności, strachu... Czytałam niedawno "Bunt mas" więc mogłam jej zacytować zdanie, że "masy zdecydowały się skorzystać z przyjemności, które dotąd rezerwowane były dla nielicznych". Pomyślałam, że do przyjemności, które masy postanowiły rewindykować, należy swobodne obcowanie z rzeczami ostatecznymi. Niestety, obcuja z nimi bez onieśmienia, bezceremonialnie wręcz, pozbawiając je wzniosłości i tajemnicy. W literaturze podobnie: Vonnegut, Kundera, Ajar. Trzeba przyznać, że czynią to bardzo pomysłowo, kunsztownie wręcz, budząc tym większą irytację i urazę. Profesor A., któremu to powiedziałam, mówi, że tak jest zawsze podczas kryzysu. Gdy świat ma się dobrze, lud pozostawia sprawy ostatecznie swoim kapłanom. Gdy następuje wielki kryzys i wszystkie wartości stają się niepewne, lud decyduje się sam sięgnąć po tajemnice. Czy już wspominałam ci o profesorze A...?



Autorka książki, wysłuchawszy moich wywodów o przesadnym braku onieśmielenia, cytuje mi Lewiego Icchaka z Berdyczowa, który zachęcał do swobodnego obcowania z Bogiem. Nawet - dodawał - jeśli poglądy obu stron nie zawsze są zgodne. Człowiek jest nie tylko Jego sługą, nauczał rabbi Lewi, lecz i partnerem i ma prawo mówić Mu różne rzeczy.

Zauważyłam, że autorka książki lepiej się czuje z Lewim Icchakiem z Berdyczowa niż z Ortegą Gasset.

Hej!

To co, to w twoim czasie, u Ciebie, nie stopili jej, ani nie pocięli...?"

Paweł trafił do domu Celiny latem, za sprawą ojca Pauli. Było to pierwsze lato stanu wojennego, czerwiec chyba. Zaraz po tym, jak Celina zaczęła fotografować czaszki w Zakładzie Antropologii, przy okazji dowiadując się, że reprezentuje typ subnordyczny. - Z typową dysharmonią pigmentacyjną - dodał profesor A., który właśnie wszedł, zapytał, gdzie Celina zdążyła się opalić i zniknął za regałem, wypełnionym pudłami czaszek.

Ojciec, który jako emeryt mógłby wszędzie jeździć bez przepustki, przywiózł spod Radomia Pawła ściganego listem gończym i ulokował u siebie.

Nie było to rozsądne, bo ojca odwiedzało ostatnio wielu znajomych. Siedzieli całymi godzinami, dyskutując o mniejszym złe, jakim był stan wojenny. Oddawali się wspomnieniom: najstarszy proponował konspiracyjny sposób pukania w okno, który obowiązywał w jego partyjnej komórce, lewych eserów bodaj. Chętnie tłumaczyli Celinie, dlaczego należy wybierać mniejsze zło. Zapewniali przy tym o zrozumiałym smutku, ale mniejsze zło wprawiało ich w zaskakujące ożywienie. Pod wpływem owego kontrastu Celina powiedziała ojcu, że zabierze Pawła do siebie. Ojciec Pauli zaczął spacerować po pokoju, załamując swoje białe, chude palce w sposób, który Żydzi urodzeni w Ameryce nazwaliby gestem wschodnioeuropejskich Żydów. - Chyba, Celinko, tym razem powinienem ja... Ale Celinka zapewniła, że nie powinien niczego i Paweł znalazł się w ich domu, całkowicie bezpiecznym: u hodowcy rasowych bullterrierów i właściciela farbiarni skór, jakim był od niedawna Janusz.

Celina pamiętała Pawła z Radomia - z własnych i cudzych zdjęć i ze sprawozdań telewizyjnych. Nosił wtedy białoczerwoną opaskę i wydawał się chłopięcy, skupiony i nieśmiały. Kiedy mu się przyjrzała uważniej, już w swojej kuchni, przy winie "Perla Walenciana", kupionym specjalnie na jego cześć, stwierdziła, że mimo dwudziestu siedmiu lat zaczyna łysieć, a brzuch pod robotniczą, flanelową koszulą wyraźnie się zaokrąglą. Miał duże ręce, małe dobroniuszne oczy, hałaśliwie się śmiał, zaproponował, żeby byli na ty i zapytał, gdzie Celina zdążyła się opalić.

- Na solarium - wyjaśniła, po raz drugi tego tygodnia.

- Jak siedziałem - powiedział Paweł - myślałem, że to dla was. Że jesteście z nami i wdzięczni, byliśmy dumni z siebie i wszystko miało wielki sens. Kiedy nas przewozili do więzienia, mijaliśmy most. Zobaczyłem plażę. Było słońce, upał, pełno ludzi, krzyku, żaglówek, dup... Pomyślałem - to tak? to my siedzimy, a wy sobie normalnie, jak to latem...

- U nas na solarium - przerwała Celina - też pełno dup, normalnie. Masz pretensję?

- Uchowaj Boże - roześmiał się. - Tyle że na tym moście postanowiłem chwili dłużej nie siedzieć. Widziałaś moją fotkę na liście gończym?

Celina widziała. Było to w komisariacie, kilka dni przed umówionym przyjściem Pawła. Celina poszła płacić mandat za złe parkowanie i czekając na korytarzu, zobaczyła list gończy z fotografiami. Od razu znalazła Pawła, ale starała się nie patrzeć w jego stronę. Kiedyś, w kolejce, jedna pani pouczyła ją, że nie wolno patrzeć na mięso, które się chce kupić. Przyciąga to wzrok stojących bliżej i mięso nie dochodzi do człowieka. Należy przyglądać się zupełnie innemu kawałkowi, żeberkom albo wieprzowinie chińskiej...

Celina uznała, że dotyczy to również listów gończych. Z ogromną uwagą studiowała plakat: "Kierowco, bądź przezorny na drodze", mimo to w nocy przyśnił jej się strach. Była zaskoczona, bo w dzień w ogóle się nie bała. W dodatku sen był infantylny. W ciemnościach wyły syreny, obracały się radary, samochody świeciły zimnym, błękitnym światłem i jeździły w kółko, jak dziecięce zabawki, puszczane jednocześnie w ruch. Celina doszła do wniosku, że przestraszyło ją to błękitne światło w ciemnościach. Zapaliła lampę - było w pół do trzeciej. Wysłuchiwała w radiu kwadransa żołnierskiego i leżała do "Sygnałów dnia". Odtąd budziła się każdej nocy, zawsze o tej samej porze, i bała się przez półtorej godziny. Kiedy budziła się wcześniej, wiedziała, że nie warto zasypiać, bo strach zaraz ją obudzi.

Obserwowała znaki.

Pamiętała, że bankier amerykański, Pierpont Morgan, kazał w poszukiwaniu znaków zamknąć się w egipskiej piramidzie. Pluskwy, które go nocą obsiadły, uznał za znak fałszywy, gdyby jednak pojawiły się małe czerwone ptaszki o ludzkich głowach, oświetlające piramidę własną poświatą, byłby to prawdziwy znak.

Za przykładem Morgana Celina bardzo uważała, by nie dać się zwieść fałszywym znakom. Pluskiew nie miała, od biedy mogłaby obserwować mrówki faraona, ale kazała je niedawno wytępić ekipie, ogłaszającej się w "Życiu Warszawy". Na ptaszki o ludzkich głowach nie liczyła, miała natomiast na balkonie gołębie, które zdążyły obesrać wszystkie kanistry z zaoszczędzoną benzyną. Uznała, że kiedy taki gołąb wzbija się wprost w niebo, to dobrze, a kiedy spada bezwładnie jak kamień, to źle. Sumowała numery rejestracyjne mijanych aut i cieszyła się, kiedy wychodziło siedem.

- W najgorszym razie, jak go tu znajdą, grozi ci trzy lata - uspokajał ją łącznik Pawła. - Ale nie przejmuj się, zwolnią cię przed terminem.

Na wszelki wypadek postanowiła być w pierwszorzędnej formie. Gimnastykowała kręgosłup, zrobiła kontrolną cytologię, doprowadziła do porządku zęby i przepisała na Julkę konto bankowe z adnotacją "Bez ograniczeń".

- Wytwarzasz pole - zwrócił jej uwagę Paweł.

Obraziła się: - Uważasz, że się boję?

- Nie, tylko wytwarzasz pole, po którym mogą nas znaleźć. Oni mają speców od takich pól. Bogdan też strasznie wytwarzał, dlatego wpadł.

Poprosiła, żeby opowiedział o swoim dzieciństwie.

- Jestem dwunasty - zaczął i zastanowił się. - Albo jedenasty, nie wiem dokładnie.

Celina nie zrozumiała.

- Nie pamiętam, ilu braci umarło przede mną, pięciu czy więcej. To u was, w mieście, ważne jest ilu się rodzi i ilu umiera, ale spójrz, ile jest dziecięcych grobów na wiejskim cmentarzu. Potem znikają, bo tylko w mieście tak się dba o grób, kiedy jest jedno dziecko i jeden grób, na wsi jest praca i nie ma czasu na sentymenty. Kiedy matka myła do trumienki piętego brata, ojciec przyjrzał się ciałku i nacisnął brzuch. Wyłynęło kilka kropli moczu. Wtedy wziął brzytwę i naciął. Okazało się, że dzieci rodziły się z błonką, która uniemożliwia oddawanie moczu, z drobną wadą, łatwą do usunięcia w każdym szpitalu. - I ty, matka, nie zauważyłaś niczego? - zapytał ojciec i wziął pogrzebacz. I chciał zabić moją matkę.

Paweł zdziwił się, kiedy Julka zaczęła płakać, więc Celina szybko spytała o siedemdziesiąty szósty rok i skąd Paweł wiedział, co należy robić w ich zakładzie.

W stanie wojennym Celina fotografowała czaszki uprzednio trzymane w słabym roztworze zasady sodowej, by części miękkie rozłożyły się i kość była czyściutko zmacerowana - według antropologów Celina powinna znać wszystkie fazy ich prac, także nie związane z jej obowiązkami - fotografuje się w pięciu normach. Z przodu, z boku, z góry, z dołu i od potylicy - frontalis, lateralis, verticalis... - w płaszczyźnie poziomej frankfurckiej, która przechodzi przez punkt porion i dolne krawędzie oczodołów. Celina ustawiała obiektyw w należytej płaszczyźnie i próbowała wyobrazić sobie, kim byli ludzie, czy raczej kim były czaszki, które miała przed sobą. Z kolei patrząc na żywych ludzi zaczęła wyobrażać sobie ich czaszki, ale asystent uspokoił ją, że to normalne i powinno po pewnym czasie przejść. Przeszło, rzeczywiście.

W Zakładzie Antropologii było przyjemnie, podobnie jak w poprzednim miejscu, niewielkim prywatnym zakładzie fotograficznym, w którym pracowała zaraz po odejściu z

redakcji. Zostałaby tam dłużej, gdyby nie ludzie, którzy przychodzili zamawiać sobie zdjęcia. Zaczęło się z nimi dziać coś dziwnego.

- Co mianowicie - spytał profesor A., który w drodze do przystanku chciał dowiedzieć się, skąd Celina wzięła się u antropologów.

- Mianowicie zaczęli brzydnąć. Tak. Z każdym dniem stawali się brzydsi. Wszyscy. Nowożeńcy, ich weselni goście, ci od zdjęć paszportowych i dzieci od pierwszej komunii...

- I to się pani nie zdawało? - Profesor A. uśmiechnął się grzecznym uśmiechem racjonalisty, który nie lubi sprawiać przykrości swoim wątpieniem.

- Najgorsze - ciągnęła Celina - że nie była to brzydota interesująca, jak u Feliniego, ani zabawna, jak u Woody Allena. Banalna i nudna: brzydota złej cery, próchnicy zębów, włosów z tendencją do przetłuszczania, wągrów u nasady nosa i niedomytych paznokci.

Profesor A. spowaźniał i zaczął mówić o warunkach kryzysu, ale Celina zapewniła go, że sprawa jest tajemnicza. - Niewykluczone, że to pan Bóg postanowił ubrzydzić świat, a zaczął od ludzi. Co może oznaczać zbliżający się koniec...

Celina zawiadomiła profesora A., że sama zapłaci za swoje Campari - siedzieli w Victorii na piętorku, tuż pod gigantyczną tkaniną pani Owidzkiej, zasłaniającą całą ścianę i Celina znów próbowała ustalić, czy jest to dzieło sztuki, czy tylko większa makatka. Próbowała także zrozumieć, skąd przyszedł jej pomysł o końcu świata. I dlaczego akurat w obecności profesora A. przychodzą jej do głowy różne zaskakujące pomysły.

- Ubrzydza świat? - dziwił się. - Przecież pani uważa, że On jest dobry.

- I właśnie z dobroci robi to, i z żalu. Po co Mu kończyć ładny świat. Musi go uprzednio zepchnąć w szpetotę, będzie Mu wtedy mniej przykro.

- Ta-ak - profesor A. zawiesił głos i dodał z uśmiechem, który Celina starała się zlokalizować. Doszła do wniosku, że ogranicza się do oczu, reszta twarzy pozostawała kamiennie poważna. - ...Formułuje więc pani estetyzującą koncepcję końca świata. Niektórzy antropolodzy uważają, że świat brzydnie już dwadzieścia tysięcy lat. Człowiek osiągnął swój szczyt w górnym paleolicie, kiedy symbioza ze środowiskiem była najdoskonalsza. Później jest już tylko coraz szybszy upadek...

Profesor A. zauważył, że Celina słucha z roztargnieniem, przerwał i spytał, dlaczego rybak, nazwiskiem Goździk, którego zdjęcie zamieszczono kiedyś na pierwszej stronie "Polityki", był tak smutny.

- To moje zdjęcie - pochwaliła się szybko Celina.

- Wiem. - Tym razem uśmiechnął się jeszcze i zmarszczkami wokół oczu, a Celina strasznie się zdziwiła, że ktokolwiek może pamiętać jej zdjęcie.

Paweł nie potrafił wyjaśnić skąd wiedział. Pewne rzeczy wie się od zawsze. Kiedy wrócił z wojska do zakładu, było po wszystkim. - Po czym, spytała Celina. Okazało się, że ma na myśli strajki po podwyżce cen w siedemdziesiątym szóstym roku. Od nich wyrzucono za strajk czterdziestu ludzi; od razu zaczął ich szukać. - Po co, zapytała Celina. Kiedy ich znalazł, wyjaśniło się, że się boją i już się nie nadają do niczego. Celina nie spytała, do czego mieliby się nadawać, bo Paweł znowu coś wiedział od zawsze. Że mianowicie przyjdzie wreszcie miejsce i czas i tę walkę trzeba będzie "z nimi" stoczyć. Celinie zrobiło się przykro, ponieważ ani ona, ani Janusz nigdy nie myśleli o stoczeniu walki z nimi. Paweł zgodził się: inteligencja tak, inteligencja kupiła To, jako pomysł na życie, ale robotnicy nigdy. Byliśmy biedni, mówił, a Celina wyobraziła sobie jego ojca, jak wstaje o czwartej nad ranem, zakłada ubranie kupione na raty, zawija w nieświeży śniadaniowy papier kawałek czarnego salcesonu i w ciemnościach idzie na przystanek. Sąsiedzi dookoła byli równie biedni, ale To nigdy nie było ich. Import, wschód, cudze zapożyczone sprawy, nigdy ich. Celinie, z niejasnych dla niej powodów, znowu zrobiło się przykro.

Paweł przeglądał książki, które Celina sobie przynosiła, a najchętniej czytał Kucharzewskiego. Szukał w nim historii terrorystów w Narodnej Woli, które później ze szczegółami opowiadał, miał bowiem zwyczaj streszczania przeczytanych książek. Nie było na to żadnej rady, opowiadał nawet osobom, od których dopiero co książkę pożyczył. Wyobraź sobie - mówił Celinie - uwięziony Diegajew wysyła z aresztu list do żandarma Sudiejkina i proponuje współpracę. Sudiejkin go wypuszcza, ale Diegajew wszystko wyznaje innemu rewolucjonście, który każe mu Sudiejkina zabić. Kupuje dwa łomy, wagi pół puda i długości jednego arszyna każdy i z dwoma współnikami przychodzi do mieszkania żandarma. Strzela z pistoletu i trafia w brzuch, ale tamten z przestrzelonym brzuchem ucieka do gabinetu. W gabinecie czeka współnik z łomem i wali go po głowie. Sudiejkin z przestrzelonym brzuchem i rozwaloną głową biegnie do ubikacji, ale tam czeka na niego...

- Błagam cię - nie wytrzymała Celina, bo radosny ryk Pawła słychać było z pewnością na całej klatce schodowej, a już na pewno piętro niżej, gdzie mieszkał pan, pracujący w Pałacu Mostowskich. Więc Paweł ciszej już, za to z ogromnym podziwem dodawał, że wiele lat później Diegajew odnalazł się w Ameryce w stanie Południowa Dakota, jako Aleksander Pall. Skończył matematykę, został profesorem uniwersytetu, pisał po angielsku naukowe rozprawy, ożenił się z młodą Amerykanką i głosował na republikańców. Umarł mając sześćdziesiąt sześć lat, otoczony powszechnym szacunkiem.

Celina zrewanżowała się Pawłowi historią Mikołaja Kibalczycy, konstruktora bomby, którą zabito Aleksandra II. Człowiek ów miał przez całe życie jedno marzenie: zbudować maszynę zdolną przenosić w powietrzu ludzi jak automobil. Niestety, działalność rewolucyjna wciąż

przeszkadzała mu w realizacji. Kiedy znalazł się w więzieniu, przystąpił wreszcie do prac. Pospiesznie zaczął szkicować na ścianach celi rysunki i wzory matematyczne. Dostał papier, dziełu nadał tytuł: "Projekt aparatu lotniczego byłego studenta Instytutu Dróg i Komunikacji Mikołaja syna Iwana Kibalczyca, członka partii socjalno-rewolucyjnej Rosji". Rzeczą tę, napisaną w sześć dni po aresztowaniu, na trzy dni przed procesem, w którym skazano go na śmierć, wydobyto z archiwów po rewolucji październikowej. Specjaliści uważają, że zawarte tam były zasadnicze idee przyszłego rosyjskiego lotnictwa.

- Tu masz papier - kończyła Celina i, poprawiając wskazującym palcem zsuwające się okulary, dodała głosem poważnym i dydaktycznym: - I nie trać czasu, Paweł.

Sprawy terroru wciągały Pawła w długie, wewnętrznie sprzeczne monologi. Jednego dnia mówił, że gdyby nie Kłosa i gdyby w porę nie załapał się na to wszystko, po trzynastym grudnia stałby się terrorystą, to pewne.

- A teraz - ciągnął - przychodzi do mnie człowiek i mówi: ty, słuchaj, moim zdaniem to ich trzeba, wiesz co. A ja mówię temu człowiekowi: spierdalaj chłopie. A dlaczego tak? Bo w swoim czasie załapałem się na Jacka, na Lita i na to wszystko.

Ale innego dnia Paweł zaczynał opowiadać, jaki wspaniały był w wojsku. Mieli piętnaście minut na zaminowanie obiektu, on minował w siedem. Z trzech jego min-niespodzianek znajdowano jedną i to w najlepszym wypadku.

Dlaczego o tym mówisz, pytała Celina.

Bo niezły byłym, mówił Paweł. Ale robiłbym wszystko zupełnie sam, bez nikogutko, a oni tylko by kolejno lecili w powietrze. Ludzie zachodzą w głowę - ciągnął w rozmarzeniu Paweł - kto to może być? Kościół potępia, wszyscy odcinają się, "Solidarność" - w imię najwyższych zasad, a to nic, to tylko byłbym ja - spokojnie - i po chłopach - po chłopach

Parę tygodni po przyjeździe Pawła, Celina pojechała z A. nad Narew. Zostawili samochód na drodze i poszli wzdłuż rzeki, oddzieleni łąkami od skarpy i chat. Na wodzie zauważyli drobne ślady deszczu. Skręcili w stronę wąwozu i położyli się w łubinie. Celina poczuła jak miękko, skwapliwie uginają się pod nią parujące łodygi i jak ciepłe są krople deszczu spadające na jej twarz, rękę A., jej brzuch i jej skórę między udami. Otwórz oczy, powiedział A.

Czasami Paweł cichł i prosił Celinę, żeby zawiadomiła go, kiedy to wszystko straci sens, a on stanie się już tylko śmieszny. Celina obiecywała, że mu powie. W takich dniach Paweł zaczynał mówić o czasie i o karłowatych japońskich drzewkach, hodowanych w doniczce. Celina sprowadziła mu takie drzewko przez znajomego japonistę. Dał im także do poczytania artykuł, z którego się dowiedzieli, że drzewka nazywają się bonsai, w Chinach znane są od tysiąca lat, a w Japonii od siedmiuset, mają wysokości od pięciu centymetrów do metra, a najważniejsze -

umiejętnie przycinać im gałęzie i korzeń. Bonsai może przypominać wodospad, burzę, płacz, mężczyznę albo dziecko. Nigdy nie rośnie pośrodku donicy, a środek jest miejscem, w którym ziemia spotyka się z niebem, a człowiek ze Stówrcą, więc nie może być zajęte przez nikogo. Przekazywane w rodzinie kolejnym pokoleniom, bonsai może żyć setki lat.

Drzewko Pawła było sosną, dokładnie taką, jakie rosną na skarpie nad Narwią. A. orzekł, że w sytuacji Pawła ma to głęboki sens. Teraz należałoby wyhodować malutką Narew i mógłby się ukrywać już zawsze.

Była to stara i smutna sosna, ale Paweł cieszył się, że go przeżyje. Idee może i nie, ale bonsai na pewno. Kiedy zniknął, doniczka ze smutną sosną była jedyną rzeczą, jaką zabrał ze sobą z ich domu. Celina była pewna, że ma ją tam, skąd nadchodzą paczki dla dziecka. Zawsze bez listu, za to z dużą ilością używanych koszulek, które są od razu za małe.

- Dlaczego nie robisz Pawłowi swetra? - zapytał któregoś dnia Janusz. - Już czas, rób kolorowy sweter.

Pomyślała, że byłoby to zabawne. Przejrzała szafy, wyjęła resztki włóczki i zapytała Julkę, jak ułożyć je kolorami. - Polubiłaś go - ucieszyła się Julka.

Również o swetrze zawiadomiła A. - Podczas okupacji moja matka zrobiła taki sam jednemu chłopcu. Jest moim mężem od dwudziestu paru lat. Przez chwilę obawiała się, że doda "od kiedy jedna dziewczyna wyjechała do Afryki Południowej na zawsze", ale opanowała się.

Była ciekawa, czy jej matka wytwarzała pole.

I czy ona sama uśmiechała się wtedy do Janusza głupawym, rozanielonym uśmiechem, który teraz rozjaśniał buzię Julki na widok Pawła. Julka okropnie denerwowała się, czy Celina wypadnie w oczach Pawła dość dobrze. Uspokoila się dopiero, kiedy się okazało, że Paweł chętnie rozmawia z jej matką o Narodnej Woli. Celina odniosła wrażenie, że dzięki Narodnej Woli Julka sama zaczęła traktować ją z pewnym szacunkiem.

Popatrz - mówiła do A. - Paweł jest Paulą. Julka mną. Ja moją matką. Zabawne, prawda? Nie wspominałam ci nigdy o Pauli...? Wtedy chyba nie wytwarzano pól, jak myślisz?

Na co A. radził jej, żeby nie zamawiała więcej wina, ponieważ powinna być trzeźwa, kiedy przyjdą po nich.

- Nie pieprz - prosiła. - Nikt nie przyjdzie. A nawet, to posiedzę nie dłużej niż rok.

- Posiedzisz pięć lat - zapewnił A. - Oblicz lepiej, ile będziesz miała, jak wyjdiesz.

Celina dodała pięć do czterdziestu sześciu. Następnie spróbowała obliczyć, o ile drzewa na gigantycznej makatce pani O. są większe od bonsai i poprosiła kelnerkę o rieslinga. - W każdym razie zrobię mu dużo zdjęć. Udane będą, możesz mi wierzyć. Nikt nie będzie miał tylu zdjęć człowieka, który się ukrywa. Jak tylko wyjdę, urządzę wystawę.

- Od początku nie miałem wątpliwości, że dlatego wzięłaś go do siebie - zapewnił A.

Paweł nie bał się. W przeciwieństwie do niej, która nadal się budziła na półtorej godziny każdej nocy.

Wolała nie siedzieć pięciu lat, zwłaszcza od kiedy dowiedziała się, że w dzień nie wolno leżeć na pryczy. - Słyszałeś o tym? - zwróciła się do swojego zwykłego Rozmówcy: patrzyła na gwiazdę, która świeciła naprzeciw niej, w samym środku prostokąta szyby. - Nie pozwalają leżeć w ciągu dnia, a krzesła nie mają oparcia. Wyobraź sobie - pięć lat na stołku bez oparcia. Próbowales kiedy tak usiąść?... Mimo że gwiazda była dziwnie jasna i świeciła prywatnie dla niej, miała wątpliwości, czy Adresat zechce wysłuchać próśb w sprawie niesiedzenia. Za dużo było w jej decyzji ciekawości i pychy. I radości z udanych zdjęć. Dla zdjęć mogłaby Go jeszcze pozyskać, ale pycha była grzechem, który z pewnością zagradzał prośbie drogę do Adresata. Zасыpiając zauważyła, że gwiazda przesunęła się w górny róg szyby. Znak, ucieszyła się, ale Janusz powiedział, że to sztuczny satelita raczej albo kometa Helley'a.

Paweł parokrotnie gdzieś wyprowadzał się, potem, poprzedzany zapowiedzią łącznika, pojawiał się znowu.

Zniknął na dobre, kiedy Julka była w trzecim miesiącu. Z gazet dowiedzieli się, że wpadł, siedział i wyszedł z amnestii. Pewnego popołudnia ich odwiedził. Był ożywiony - Siedziałem z ziemitami - mówił, ale nawet Julka nie spytała, co to znaczy, więc wytłumaczył sam. - Ziemici śpiewają nie rzucim ziemi skąd nasz ród przy każdej okazji. Z KOR-nikami siedziałem...

- A zwyczajnych robotników tam nie było? - pytał z powagą Janusz.

- O zdrowotrzonowcach myślisz? O zdrowym trzonie klasy robotniczej...? Byli, tak.

Celina zrobiła risotto.

Paweł poszeptał z Julką i wyszedł.

Janusz próbował dowiedzieć się, o czym szeptali, ale Julka poprosiła, żeby się nie wcinał.

W jakiś czas potem zaczęły nadchodzić zagraniczne paczki z agrafkami do pieluch - agrafki nie miały prawa się otworzyć, a pieluchy przemoknąć, ze smoczkami, które wskazywały gorączkę i ze stosami za małych koszulek. Listy nie nadchodziły nigdy.

"Hej, jesteś tam?

Popatrz, nie opowiedziałam o niej. Ani Pawłowi, ani A., powinieneś mnie pochwalić.

Hej,

czy mogłabym co o niej opowiedzieć?

Na wszelki wypadek zaznaczę gwiazdkami fragmenty, które możesz opuszczać. O tak: \*\*

Miała białą skórę, która nigdy nie pociła się, ani nie zmieniała koloru. Nosiła szeleszczące halki i szerokie paski z błyszczącymi klamrami. Ja nosiłam okulary minus dwa i spódnice w bardzo



dobrym gatunku - najpierw z przenieconych, przedwojennych kostiumów, a później z kuponów wełny, które nam dawał w prezencie jej ojciec.

Wieczorami chodzili gdzieś. Wiedziałam, że są razem, chociaż nigdy nie mówili mi że idą. Nie ukrywali tego, tylko byli delikatni. Po wykładach wstępowaliśmy na antresolę do Bristolu na francuskie rożki z jabłkiem i nie wiem nawet, kiedy umawiali się, bo Janusz zawsze żegnał się pierwszy.

Czasami przychodziła do mnie nad ranem. Pukała cichutko, żeby moja matka nie słyszała, mówiła, że nie chce jej się iść do domu i kładła się koło mnie. Pachniała perfumami, alkoholem, starałam się rozpoznać wszystkie zapachy, jakie przynosiła, ale nie znałam ich. Pytałam: czym pachniesz?, ale zasypiała szybko i nie byłam pewna, czy słyszy.

\*\* Nie lubiła wspomnień. Kiedyś opowiedziałam Januszowi, jak szła zapisać się do szkoły pierwszego dnia po wyzwoleniu. Był mroźny, śnieżny dzień. Szła przez zaśnieżone ulice i pomyślała, że żyje. Ucieszyła się. Nauczycielowi powiedziała, że ma prawie dziesięć lat, dużo czytała i chciałaby pójść do piątej klasy. Nauczyciel zapytał o imię. To ją zaskoczyło. Brnąc przez zasypany i ciesząc się, że żyje, nie pomyślała, jak ma na imię tego dnia. Paula, powiedziała, ale przestraszyła się, że może jeszcze za wcześnie na taką szczerą. Poprawiła szybko: nie, Pola. Nauczyciel się roześmiał. Ona też, śmiechem zawstydzonego dziecka, któremu płacze się własne imię. Ty stary durniu, myślała przy tym. Jak łatwo dajesz się nabrać na ten numer: na dorosłego człowieka, który ma prawie dziesięć lat, a odgrywa dziecko.

\*\* Opowiedziałam to Januszowi przy niej i wszyscy w trójkę śmialiśmy się ze starego durnia. Ale kiedy przypomniałam coś, czego sobie nie życzyła, milkła i odwracała wzrok, jakbym popełniała nietakt wobec niej. Nawet kiedy nikogo przy nas nie było. Jakby była obrażona na mnie, że pamiętam.

\*\* - Paula nie pamięta niczego z tamtych lat, powiedział jej mąż, biznesmen z Południowej Afryki. Spotkaliśmy się we Włoszech i pojechaliśmy razem do Werony, zaproszeni przez Paulę. Usiedliśmy na Piazza Erbe, na schodach, po lewej stronie. Upał zmniejszał się. Patrzyliśmy na kolorowe stragany i jedliśmy zapiekana lasagne, którą Janusz i jej mąż przynieśli z narożnej restauracji z naprzeciwka. Nasze dzinsowe córki błagały, żeby natychmiast pójść do kucharza i nauczyć się piec taką samą. - Inne byłyśmy, nie? - powiedziałam, a jej mąż się zdziwił. - Pamiętasz, jakie byłyście? Wtedy? Bo Paula nic nie pamięta. Spojrzałam na nią. Patrzyła na swojego męża z otwartym, serdecznym uśmiechem. Pomyślałam - jak szczerze, z jaką spontaniczną wręcz wylewnością zwykła zwierzać same nieprawdy. Poklepał ją po szyi: - Pięknie wygląda. Mąż o nią dba, to dlatego.

\*\* Myślę, że wyjeżdżając z Polski, odjechała nie tyle od Janusza, co ode mnie. Od mojej pamięci. Od pamięci o niej w schowku za szafą. Słuchającej jak obłąkana matka śpiewa arię z "Księżniczki Czardasza".

Jak widzisz, zaznaczyłam gwiazdkami wszystkie fragmenty dotyczące wojny. Drugiej, światowej (1939-1945). Z pewnością nie interesuje cię, uległa przedawnieniu. Wszystkie wojny ulegają przedawnieniu. Czytałam gdzieś, że w trzynastym wieku Mongołowie wyrządzili Europie więcej krzywd niż Niemcy w dwudziestym, a czy ktoś to dzisiaj Mongołom pamięta? Ale druga światowa przydaje wam się - w twoim czasie, u ciebie - na mit. Podobnie jak Sierpień (1980-1981), który był życiem naprawdę. Wielu ludzi przeżywa życie na niby, mówił A., w celach, które wyznacza dla nich kto inny. A poczucie, że coś ważnego od ciebie zależy, jest szalenie krzepiące. Gdyby nie Sierpień, wielu ludzi przeżyłoby życie nie domyślając się nawet, że są gotowi wziąć na siebie tę ważność.

Tak mówił A. Zresztą w mieszkaniu ojca Pauli. Na tapczanie, pod matą.

Trzeba przyznać, że antropologia dobrze zrobiła A. - lekarzowi medycyny sądowej - na horyzonty. I pomyśleć, że wszystko dzięki dziełu Gerasimowa "Woprosy wostonowlenija lica po czerepu". Które zresztą profesor A., studiując strukturę rasową ludności Polski i stając się dzięki temu wcale kompetentnym antropologiem, znakomicie przystosował do naszych warunków.

Trzeba przyznać, że wywody A. najlepiej mu wychodzą na tapczanie. Mam nadzieję, że słuchałam ich z ujmującą inteligencją."

A gdyby nie było obu wojen światowych?

Co z Paulą?

Mieszkałaby pewnie w małym mieście, w jakimś Kraśniku albo w Łęcznej. Wyszłaby za niezbyt urodziwego, bladego młodzieńca z jesziwy, w wiecznie rozwiązanych sznurowadłach, z płonącymi oczami i rzadką, kędzierzawą brodą. Trochę by przypominał młodego człowieka, którego Celina słyszała u ojca Pauli, jak uczył się być Żydem i mówił, że już się w ogóle nie boi.

Pragnąc podciągnąć intelektualnie swoją piękną żonę, chciałby jej wytłumaczyć choćby najważniejsze. Kartkowałby Księgę Powtórzonego Prawa, a Paula wsparłszy twarz na białej, pulchnej dłoni, patrzyłaby na niego z serdecznym uśmiechem. Mówiłby: naród wybrany chciałby być zwyczajny, jak inne, a musi dźwigać na sobie brzemień obcości i niezakorzenia. Albowiem obcość narodziła się razem z wybraniem i umiłowaniem przez Boga - "...umiłował ojce twoje i obrał nasienie ich po nich, i wywiódł cię..."

Nie wiem, prawdę mówiąc, czy bez pierwszej i drugiej wojny sprawa niezakorzenia zaprzętałaby młodego człowieka z Łęcznej, ale Paula i tak by go długo nie słuchała. W swoich szeleszczących halkach i w pasku z błyszczącą klamrą uciekłyby do goja w swetrze z kolorowych

włóczyk. By na koniec odnaleźć się w Manhattanie czy innym Johannesburgu. A goj ożeniłby się z krótkowzroczną blondynką w zsuwających się okularach, z małym Olympusem w kieszeni i ze znacznie gorszym od Pauli akcentem w języku rosyjskim. Nie wiedzieć czemu, bo obie przecież mieszkałyby w Królestwie Kongresowym.

I tak dalej, i tak dalej.

I co by się zmieniło?

Najwyżej modele, fotografowane tym Olympusem.

Najwyżej ta książka.

Jeżeli w ogóle powstałyby bez obu wojen.

A. zapamiętał smutek jej starych zdjęć. Powiedział, że wcale nie opowiadały o ludziach, których fotografowała, lecz o niej. - Siebie samą zapisujesz, nie świat.

- Zapisuję tę cząsteczkę samej siebie, która jest w tamtych ludziach - powiedziała.

Było jej miło, że z taką powagą rozmawiają o jej pracy i że tak zgrabnie sformułowała swoją myśl.

Nie po raz pierwszy zaskakiwały ją słowa, które wypowiadała w obecności A. Słuchała ich z zainteresowaniem, a przecież były jej własne.

Dlaczego nie znajdowała ich przedtem?

Miała wrażenie, jakby obecność A. stwarzała ją za każdym razem na nowo. Albo jakby samą siebie stwarzała w jego obecności.

Osoba, stwarzana za sprawą A. podobała jej się nieporównanie bardziej niż znana jej do tej pory. Była spokojniejsza, weselsza, bystra i chyba nawet szczuplejsza w biodrach. Tylko uda miała równie grube, co na szczęście nie przeszkadzało A. Przeciwnie. Rozpoczynając na tapczanie swoje monologi kładł na jej udach obie ręce. Może ogrzewając je. A może podłączał się w ten sposób do tajemnego źródła swojej wiedzy o zagadce czaszek, albo o doskonałości gatunku, w górnym paleolicie...

W każdym razie Celina już nie wstydziła się ani swoich ud, ani braku talentu, ani siebie.

Pewnego ranka zobaczyła z okna brudny, topniejący śnieg i zeschnięte choinki, które wiatr wywlókł ze śmietnika. Leżały w dziwnie symetrycznym, smutnym czworoboku, wszystkie zwrócone wierzchołkami w jedną stronę.

Przyniosła aparat.

Zanotowała: "8 stycznia 1983, sobota. Zimno, wiatr. Chyba ciśnienie spada".

11 stycznia sfotografowała kolejkę, która odhaczała się na społecznej liście przed jej osiedlowym sklepem. Podpisała: "Jaki szczęśliwy dzień. Państwo Numerostwo 952 przesuną się dzisiaj o cztery miejsca w kolejce po zamrażarkę". (Numerostwo uśmiechało się na pierwszym

planie, wprost do obiektywu). Postanowiła zapanować nad ironią w podpisach, tym bardziej że nie szydzi z tych ludzi, tylko współczuje im. Niestety, na zdjęciu z 14 stycznia stał przed sklepem krępy, łysy mężczyzna, obejmując oburącz wysoką lodówkę firmy Mińsk. Czekał pewnie na transport i trwał ni to w geście zmęczenia, ni to w uścisku miłosnym. Lodówka była zresztą w typie Muriel Hemingway, na co Celina zwróciła uwagę w podpisie.

Ostatni poniedziałek stycznia był dniem wyjątkowo ważnym.

Czekając w sądzie na A. (bywał w sądach z racji tych czaszek, odtwarzanych dla Zakładu Kryminalistyki), weszła do jednej z sal. Toczyły się wtedy procesy osób z manifestacji ulicznych; młody wąsaty człowiek w ortalionowej kurtce oskarżony był o rzucanie kamieniami w siły porządkowe. Celina obejrzała bez współczucia jego duże, czerwone ręce złożone na kolanach i z lekkim obrzydzeniem pomyślała, że są wilgotne.

Wszedł świadek w mundurze zomowca, młody, wąsaty. Sąd spytał, czy poznaje oskarżonego.

- Tak.

Gdzie go widział.

- Nie wiem - odparł zomowiec.

- Przecież zatrzymał go pan - przypomniał prokurator.

- Ale nie wiem gdzie, w śnie czy w rzeczywistości...

Celina sięgnęła do kieszeni i nie wyjmując aparatu nastawiła dźwignię odległości.

- Ja mam po każdej akcji sny - wyjaśniał zomowiec i mi się śni ta akcja dalej, tylko jest jeszcze gorsza. Czasami mi się śni, że używam broni palnej. Oczywiście zgodnie z regulaminem - dodał szybko. - Czasami mi się śni...

Nie czekając na wyrok Celina wyszła z sądu. Pobiegła do domu i wywołała film. Obejrzała styki. Przyszło jej do głowy, że czarne ramki klitek wcale nie wyglądają źle dookoła rąk mnących czapkę ZOMO, ani dookoła zwłok choinek. Przeciwnie, wydają się czymś logicznym. Przycięła papier do formatu kartki maszynopisu, na górnej połowie zrobiła powiększenie razem z ramką filmu, niżej napisała datę i zdanie informujące: "Świadek ma sny. Po każdej akcji śni mu się ta akcja dalej, tylko jest jeszcze gorsza..."

Celina chętnie opowiadała później historię zomowca, ale zauważyła, że ludzie w nią nie wierzą, chociaż mówiła: "mam świadka, Kieślowski był przy tym, ten reżyser, i nawet z kamerą". Miała zresztą ochotę ciągnąć dalej, od miejsca, w którym przerwał sąd. Od "czasami śni mi się..."

Miała ochotę powiedzieć, że śni mu się jego własny strzał - oddany zgodnie z regulaminem, i człowiek, który po nim pada. Ów człowiek pada twarzą na bruk. Zomowiec biegnie do niego i z trudem obraca go na plecy. Wtedy idzie jego twarz. Widzi, że jest to... ("Gdy przypadkiem ma on

twoją twarz, cóż z tego" - miała ochotę zwrócić się do zomowca pochylonego w swoim śnie nad leżącym mężczyzną...) Pomyślała, że nikt jeszcze nie robił odbitek razem z ramkami. Z pewnością było to niepoprawne, ale doprawdy, nie wyglądało źle; trochę jak oprawiony obrazek. Ramka, nie wiedzieć czemu, nadawała mu oddalenie czy umowność.

Sposób, pomyślała. Niepoprawność będzie moim sposobem.

Zabrzmiało to, jak słowa osoby, którą dotychczas rozpoznawała tylko w obecności A.

Zrobiła odbitki pozostałych zdjęć i podpisała je długimi zdaniami, czarnym flamastrem.

Pracowała szybko, z ożywieniem. Pomyślała, że ta radość jest czymś niestosownym, zganiła się, ale nie przestała się cieszyć. Ułożyła karty w kolejności dat i spróbowała popatrzeć na nie oczami A. - Do tego nie potrzeba talentu - tłumaczyła mu w myślach. - Wystarczy model XA 2 aparatu Olympus. Próbowała odgadnąć, co A. odpowiada - do tego potrzebny jest sposób myślenia - odpowiedział. - Na zdjęciach wychodzi myślenie, nie widzisz? - Nie była pewna, czy odgadła trafnie, odłożyła odbitki i wykreśliła numer.

- Wymyśliłam coś - zaczęła. - I nie potrzeba do tego żadnego talentu.

Chociaż A. odpowiedział rzeczowym, grzecznym tonem, jakiego używał zawsze w obecności swojej żony, tym razem nie zrobiło jej się przykro. Szybko wróciła do zdjęć i zastanawiała się, czy podpisy nie są zbyt dosłowne. Między obrazem i słowem trzeba zostawić trochę przestrzeni... - znowu pomyślała w niej tamta, weselsza i szczuplejsza w biodrach.

Od tego dnia robiła codziennie jedno zdjęcie: kobiet okładających się w kolejce do S\$am-u drucianymi koszami (zauważyła, że ludzie w kolejkach stoją coraz bliżej siebie; kiedyś dbali o odrobinę przestrzeni dookoła, teraz są tłumem nie podzielonym na jednostki), Julki, wołającej, że niechcianość dziedziczy się po matce, buta Grzesia P. po powrocie na dawne miejsce na pianinie - i tak dalej.

Miała nadzieję, że jest dobra dla swojego męża. Stała w kolejkach, robiła obiady z trzech dań, a po sfotografowaniu w płaszczyźnie frankfurckiej poziomej porcji czaszek, pomagała w farbiarni. Mieli sporo roboty, bo buty były na kartki i ludzie rzucili się farbować stare obuwie. Celina nauczyła się zmywać skórę, robić podkład z mleczka kauczukowego i wiedziała, kiedy dodać do farb oleju tureckiego, a kiedy parę kropli rycyny. Było jej żal spuchniętych i popękanych rąk Janusza. Jego kurtki już nie pachniały wiatrem, tylko acetonem i olejami. Współczuła mu: nie mógł spędzić życia z Paulą i nie miał nikogo, w czyjej obecności stwarzałby siebie. Było jej przykro, że nie mógł spędzić życia z Paulą.

Myślała niekiedy, że dobrze byłoby fotografować przeszłość. Oni na peronie dworca - oni na rowerach, rankiem, nazajutrz po maturalnym balu - oni po obu stronach szafy, jeszcze nie wiedząc, że są... Nie miała pojęcia, dlaczego wyłaniali się zawsze we troje z tych nie zrobionych

zdjęć i była ciekawa, skąd sączył się ich smutek. Źródło smutku powinno być na fotografiach widoczne, jak źródło światła na obrazie. Postanowiła poaptrzeć na miejsca w których mogłaby zachować się przeszłość.

Kupiła cytryny, bo po ostatnim zapaleniu płuc ojciec potrzebował witamin, i poszła na Puławską.

Drzwi były uchylone, ojciec siedział w pokoju za stołem.

- Dostałam cytryny! - krzyknęła; nie lubił, kiedy kupowała cytrusy u prywatniarza po tysiąc sześćset; zawsze mówiła, że rzucili kubańskie, akurat jak ona przechodziła koło sklepu.

- Zostaw drzwi otwarte - powiedział szybko. - Może nimi wejść prorok Eliasz...

- Ach, tak - powiedziała Celina, wróciła do przedpokoju i uchyliła drzwi.

Ojciec nosił wizytowe ubranie, na głowie miał beret. Na białej serwecie stały dwie zapalone świece, dwa kieliszki z wienm, maca, chrzan. - Coś tu jeszcze powinno być, tylko nie pamiętam... Uśmiechnął się zakłopotany.

- Przydasz się. Siadaj i zadawaj mi pytania: "Czym różni się ta noc od wszystkich nocy..." - Zawahał się - nie wiem, czy ty w ogóle powinnaś pytać...

- A czym różni się ta noc? - zapytała, ale jej przerwał.

- Nie tak. Ma nisztana chałajła chaze... Albo nie trzeba. Co ciebie może obchodzić, czym różni się ta noc...

- Ale czym się różni? - zaczęła nalegać Celina.

- Tym, że dziś w nocy Żydzi zostaną wyprowadzeni z Egiptu... - otworzył leżącą na stole biblię. - "Była to noc, w której czuwał Pan, aby wyprowadzić je..." Zresztą nie wiem, czy tak się odpowiada.

- Zapytaj tego z brodą - poradziła. - Pewnie do tej pory nauczył się być Żydem.

- Pamiętam z dzieciństwa - ciągnął ojciec. - Do rana nie wolno było wyjść z domu, gdyż - znów sprawdził cytaty - "Pan przechodzić będzie, aby uderzyć Egipcjan". Nalewali wino, uchylali drzwi i mówili, że nadejdzie prorok. A ja patrzyłem w stronę drzwi przez całą wieczór.

- I co?

- Nic. Nie nadchodził. Nie wiedziałam jeszcze - uśmiechnął się do Celiny - że, jak nauczał rabbi Menachem Mendel z Kosowa - Eliasz przybywa do nas sercem, nie drzwiami. Jako najmłodszy zadawałem prowadzącemu te pytania - ma nisztana chałajła... Słuchaj. Jeżeli jestem sam przy stole, czy mogę i zadawać pytania i odpowiadać?

- Pojęcia nie mam - spieszyła się Celina. - Na pewno jest to gdzieś wyjaśnione w waszych księgach.

- Księgi, myślisz, przewidziały, że ktoś siedzi za stołem zupełnie sam w święto Pesach?

Między Celiną i ojcem migotały płomyki świec. Ich cienie na ścianie były przedłużone wąskimi chwiejnymi smużkami dymu. Celina uprzytomniła sobie, że w świecach jest niepokój, nie smutek, oraz że ojciec ma na głowie swój ulubiony baskijski beret, jakie noszono podczas wojny hiszpańskiej. Nie był ściągnięty na bok, zgodnie z wojenną modą, tylko zsunięty od czoła na czubek głowy. "Hiszpański beret ojca udaje jarmułkę" - pomyślała Celina i przesunęła w kieszeni dźwignię odległości.

Powiedziała - Nie ruszaj się...

Przestraszyła się swoich słów i dodała - Czasami na zdjęciach wychodzą rzeczy, których się nie widziało bez aparatu. Naprawdę. Na zdjęciach Mirona Białoszewskiego, ostatnich w jego życiu, widać nad nim długą, świetlistą smugę świecy. Byłam tam, świeca paliła się normalnie...

Opowiadając, kadrowała obraz, żeby zmieścił się i ojciec Pauli, i świece, i uchylone drzwi w perspektywie. - Więc może zobaczymy przy tobie proroka Eliasza... Teraz patrzysz pierwszorzędnie - powiedziała z zachwytem.

Jak po każdym zapaleniu płuc, należało pojechać z kontrolnym elektrokardiogramem ojca Pauli do Łodzi, do doktora Edelmana. Celina widziała doktora parokrotnie, kiedy ojciec leżał w szpitalu. Któregoś dnia przywiozła rentgeny młodego krytyka sztuki, doktor popatrzył pod światło na klisze i spytał, czy krytyk nie jest infantylny, bo przy zwężeniu aorty głównej to się zdarza. Celina odniosła wrażenie, że traktuje ją ze zniecierpliwieniem, jakby spieszył się albo był obrażony, ale ojciec Pauli ją uspokoił. Doktor Edelman nie obraża się, tylko się nudzi. .

Wysiadła z tramwaju przed radiostacją i skręciła w małe, willowe uliczki. Była połowa kwietnia, ciepło, w ogródkach kwitły forsycje i migdałowiec. Przed domem zobaczyła zaparkowane samochody, zdziwiła się, że w każdym siedzi po paru mężczyzn. Podeszła do furtki, jeden z mężczyzn wysiadł. Miał miłą powierzchowność schludnego, rozgarniętego studenta. - Nie ma doktora - poinformował. - A pani kim jest? - Pacjentką... rodziną - jak zawsze miała kłopot z nazwaniem swojego pokrewieństwa z ojcem Pauli.

W oknie przesunęła się firanka i Celina ze zdziwieniem usłyszała głos doktora: - Paula! Paula!

Poczuła jak pod jej ręką drgnęła klamka furtki.

- To tylko ja. Celina - nie wiedzieć czemu zwróciła się do mężczyzny. - To ona przyjechała, tak?

Pchnęła mężczyznę i pobiegła do ogrodu.

W progu domu stała młoda kobieta z czarnymi włosami i ciemnym uważnym spojrzeniem, obca kobieta. - Paula - przedstawiła się - Udało się pani wejść. - Aha... - powiedziała Celina. - A ja myślałam... A to jest takie rzadkie imię...

Grzecznie przeprosiła za kłopot i wyjęła elektrokardiogramy. Stół, na którym rozłożył je doktor, nakryty był białym, uroczyście sztywnym obrusem, jakby spodziewano się gości. Przyszło jej do głowy, że i tutaj czekają na proroka Eliasza. Nie wiedziała, czy święto Pesach trwa jeszcze. Spróbowała przypomnieć sobie słowa pytania - ma chałajła? ma nisztana?...

- Czy nie trzeba uchylić drzwi? - spytała. - Ojciec mówi, że może wejść nimi prorok...

- Myśli pani, że by go wpuścili? - Kobieta o rzadkim imieniu Paula wskazała gestem ulicę - Nawet w nocy stoją...

Wreszcie Celina zaczynała rozumieć: - To - oni...? To - teraz już tak wyglądają?

- Sympatycznie - zgodziła się kobieta. - Jak dzieci naszych znajomych, prawda?

Janusz, który zwykle słuchał radia do późna w nocy, wspominał, że doktor nie chce wziąć udziału w oficjalnych obchodach rocznicy getta i że pilnują go, by się nie wymknął na obchody "Solidarności"; wiedziała, kim był w getcie doktor Edelman, ale nie skojarzyła rocznicy z dniem, w którym postanowiła jechać z badaniami.

Speszyła się.

Nie miała pojęcia, co się w takim dniu mówi.

Czy składa gratulacje? Należało może przywieźć kwiaty.

Ludzie, którzy przyjechali na uroczystości ze świata - od tygodnia pokazywano ich w każdym dzienniku telewizyjnym - nakładali kapelusze albo jarmułki, kładli kwiaty pod pomnikami i płakali.

- Ci panowie... nie zdziwią się, że pana doktora z nimi nie będzie?

Doktor uniósł na chwilę wzrok i bez słowa wrócił do pasków elektrokardiogramu.

- I nie upomną się o pana...?

Tym razem nawet nie podniósł oczu. Znowu wydawał się zniecierpliwiony, czy zagniewany o coś.

- Jeśli przeszkadzam...

- Nie przeszkadzasz - przerwał. - Ty jesteś córka tej pani, tak? Co on - wskazał wykres pracy serca - podczas wojny...

- Jego żona - sprostowała Celina. - Nie on. I jego córka... Tak, u mojej mamy...

Ucieszyła się. Wreszcie nie jest żoną byłego narzeczonego, tylko "córką tej pani". Było jej miło, że doktor zwraca się do niej po imieniu, jak do dziewczynki.

Wciąż siedzieli przy stole. Z okien widać było stojące dookoła domu samochody z młodymi ludźmi. Znowu przypomniało jej się święto Pesach i zakaz opuszczania domu przez całą noc. "Pan przechodzić będzie, aby uderzyć Egipcjan..." Kobieta o rzadkim imieniu i uważnych oczach wspominała o obiedzie. Celina wtrąciła, że ludzie, którzy przyjechali na rocznicę, będą jedli



koszerne. Restaurator Stowarzyszenia Dziennikarzy od miesiąca ćwiczył się w koszernej gotowaniu, zresztą pod okiem specjalnie przybyłego z Wiednia eksperta. Ekspert pilnował, by żółtka nie miały czerwonych znamion, a mięso nie było krajane trefnym nożem. Celina robiła kiedyś zdjęcia restauratora w areszcie. Siedział w aferze łpówkarskiej, prowadził najlepsze coctail-bary w Polsce, w wywiadzie dla "Polityki" mówił, że prawdziwą pasją jego życia są sałatki. Celina pytała go, czy poza licznymi kursami sałatkowymi ukończył jakąkolwiek szkołę. Owszem, dwuletnią szkołę zaraz po wojnie; daktyloskopii i monodaktyloskopii; w Moskwie; dzięki czemu został komendantem MO miasta Wrocławia - Gotuje wspaniale - zakończyła Celina opowieść o restauratorze. - Jego specjalnością jest sałatka z gęsich wątróbek. Nic dziwnego, że jemu to powierzono koszerne kuchnię dla tysięcy pobożnych Żydów, w tym samych rabinów kilkuset, przybyłych z całego świata na dzisiejszą uroczystość.

Kobieta o rzadkim imieniu poradziła im się przejść przed obiadem. Dwaj młodzi ludzie w adidasach szybko wysiedli z aut i podążyli za nimi. Jeden niósł plastikową torbę z reklamą papierosów Marlboro. Powinien w niej mieć rakietę do tenisa, ale miał krótkofalówkę. Słyszeli jej brzęczenie, tajniacy szli w odległości kilku kroków.

- Nie odwracaj się - powiedział doktor.

- Upał - powiedziała Celina. - Ale wiosenny, czysty, jeszcze bez kurzu.

Tajniak coś mówił do krótkofalówki.

- Nie odwracaj się - powtórzył doktor.

Z głębi uliczki nadjechał radiowóz milicyjny, wąsaty, niemłody sierżant poprosił Celinę o dokumenty.

- W domu są - wskazała dom doktora.

- To pojedziemy na komendę - milicjant położył jej rękę na ramieniu... Był to dziwny gest. Ręka przytrzymała ramię nieruchomo, a zarazem jakimś wewnętrznym, niewidocznym ruchem nadawała mu kierunek.

Celina spojrzała w stronę, którą nakazywała ręka. Zobaczyła wnętrze radiowozu, głębokie i zaskakująco mroczne. Jak piec chlebowy w Bukowinie, pomyślała. A dookoła było wiosenne, upalne światło.

- Wie pan co? - zwróciła się do milicjanta. - Ja tam nie wejść.

Na drugim ramieniu poczuła rękę doktora: - Pani jest ze mną... Jej ramiona były teraz szarpane w dwie różne strony, ładna historia, pomyślała.

Zobaczyła, że milicjant odrywa rękę doktora, białą, małą, kobiecą prawie, i zaciska w swojej.

- Proszę pana - zaczęła mówić - to nie jest dobry dzień na takie rzeczy - dziś jest rocznica - może pan słyszał - powstanie w getcie - to dziś - a ten pan jest stamtąd właśnie - to jest ostatni, wie pan...

- Wszystko nam pani wytłumaczy na komendzie - przerwał milicjant. Zdziwiła się, że ten niemłody człowiek nie rozumie, co ona mówi do niego, chociaż mówi przekonująco i spokojnie.

Z bardzo bliska zobaczyła pomarszczoną twarz doktora, jego wielkie, czarne oczy i jego małą rękę.

- Ty - mnie - nie - puścisz? - powiedział do milicjanta półgłosem.

Tajniacy dali znak i sierżant się cofnął.

Zawrócili w stronę domu, radiowóz posuwał się za nimi. Doktor trzymał ją mocno za przegub, jakby bojąc się, że ją wyrwą z nienacka. Miała ochotę biec, ale doktor szedł powoli. Rozumiała: nikt nie mógł skłonić ich do przyspieszenia kroku, skoro byli na wiosennym, przedobiednim spacerze.

- Radiowóz... - zaczęła Celina w kuchni, usłyszała swój zmieniony głos i zawstydyła się. Imienniczka Pauli przesunęła w jej stronę nóż i ząbek czosnku - Pani daje do sałaty sam sok czy z miąższem? - spytała spokojnie, doktor, sięgnął do szafki po kieliszek.

- Pan doktor ma słabe ręce - powiedziała Celina.

- Ale wiem, gdzie jest globus caroticus, o, tu - pokazał napelnionym kieliszkiem miejsce na szyi. - Za chrząstką tarczową. - Znów nalał. - Taki spłocik komórek nerwowych... Z lewej lepiej, bo jest połączenie z nerwem depresyjnym, który spowalnia pracę serca.

Stół nakryto świąteczną porcelaną. Siedzieli w piątce: przyszły jeszcze dwie pielęgniarki ze szpitala. Naprzeciw Celiny stały wolne krzesła, i puste talerze, jakby gospodarz wciąż miał nadzieję na jakichś gości. Pielęgniarki mówiły, że przyjeżdżali amerykańscy panowie samochodem, ale pozwolili się odprawić spod furtki bez protestu. Czego mogli się bać posiadacze amerykańskich paszportów w takiej małej Łodzi? Pośrodku stała waza. Paula rozlewała rosół.

- No i co temu skurwysynowi by szkodziło, gdyby i ona siedziała z nami? - zapytał nagle doktor. Celina myślała, że mówi o tajniaku. - O, tutaj by sobie siedziała. - Wskazał fotel zajęty przez tęgą miłą pielęgniarkę. - Ty byś się przesunęła, starczyłoby miejsca, nie bój się. Ale nie - poczerwieniał ze złości nad parującym talerzem. - Ten skurwysyn by nie darował, gdyby jeszcze trochę pożyła sobie.

Celina przestraszyła się. Pospiesznie zaczęła w myślach przeproszać swojego zwykłego Rozmówcę;

- Proszę Cię, nie gniewaj się na niego.

Zawahala się.

- Ma trochę racji, musisz przyznać. Czy to sprawiedliwe, że zostawiłeś tyle wolnych miejsc przy dzisiejszym stole?

Znowu zobaczyła oczy doktora.

- Może i lepiej, że nie masz splociku komórek nerwowych po lewej stronie - poinformowała Rozmówcę.

Czuła się nieswojo. Miała poczucie, że goście, którzy siedzą przy stole, znaleźli się tutaj przypadkiem i zajmują cudze miejsca. Patrzyła na wolne krzesła naprzeciw siebie i zastanawiała się, kto powinien na nich siąść. Pomyślała o chłopcu, o którym doktor opowiadał w książce. Przyjechał do getta z Zagłębia i był tak głodny, że kiedy dali mu jeść, zasłaniał talerz ręką, by mu nie zabrano. Paula należałoby mu terazrosołu z makaronem i dużą fasolą i jadłby spokojnie, i do syta. Miała nadzieję, że Chłopiec nie ma żalu o owe nieszczęsne ryby, którym jego matka malowała skrzela na czerwono, żeby wyglądały jak świeże na straganie następnego dnia, i o których także była mowa w książce. Czuła bezpieczne ciepło rosołu i żytniówki. Koło Chłopca mogłaby usiąść kobieta, o którą doktor zrobił awanturę Temu Skurwysynowi. Przed paroma miesiącami leżała w szpitalu, zwolniona z internowania z nieuleczalną chorobą płuc, a doktor opowiadał jej bajki. - Kupię ci sukienkę z organdy - mówił - i parasolkę od słońca... I pojedziemy do Meranu. Jeździć będziemy powozem, na jeden dzień wpadniemy do Izraela zwiedzić Drogę Krzyżową i zaraz potem... - Na dwa dni - oponowała kobieta, ale doktor mówił stanowczo - Nie. Na jeden. - Ale ja bym chciała zobaczyć kibuc... - Nie zobaczysz kibucu. Jeden dzień i wracamy, będziemy się spieszyli do Meranu... Kiedy mężowi owej kobiety dali przepustkę z więzienia, żeby zdążył na jej śmierć, mówiła - Pan doktor opowiadał mi, jak będę zdrowieć. Powiedział, że kiedy zaczną się krwotoki, będzie znaczyło, że kryzys minął. Taka jestem szczęśliwa, że już się zaczęły. Jak wyzdrowieję, będziemy mu do końca życia wdzięczni, że wszystko przewidział tak trafnie...

Umarła następnego ranka. Jej mężowi przedłużono z tej okazji przepustkę na dwa tygodnie. Przez te dwa tygodnie rozmawiali z doktorem tylko o getcie. Świadomość, że można przeżyć tyle śmierci pokrzepiała jej męża. Skoro żyje się dalej po tylu śmierciach, może i on da radę żyć, ze swoją jedną.

Celina pamiętała twarz owej kobiety, ładną i mądrą, tylko ze zdjęć, ale uznała, że byłoby jej dobrze w sukience z organdy. Nie zdziwiłaby się, gdyby w tej sukience siedziała teraz w fotelu, koło Chłopca. "Czy ty, Celinko, nie za dużo pijesz?" usłyszała zatroskany głos ojca Pauli i zaraz zaczęła się zastanawiać, gdzie usiadłaby jego żona, obdarzona pięknym głosem, którego nie potrafiła, niestety, docenić "ta pani", jej matka... O czym rozmawialiby? Przecież zawsze mówi się o czymś przy świątecznym obiedzie. Uznała, że Chłopiec wcale nie miałby żalu o czerwone skrzela ryb, już raczej by go rozgoryczyły słowa doktora o ich zbiorowej, samobójczej śmierci, "Tego nie

należało robić - mówił o nich w książce. - Nie poświęca się życia dla symboli". - A dlaczego nie? Chłopiec zwróciłby się teraz do Kobiety w organdykowej sukience. - Była to godna, więc potrzebna śmierć. Ars moriendi - dodałby, bo w przedwojennym gimnazjum uczono go o średniowiecznej sztuce dobrego umierania. - To musiało być straszne - zamysliła się Kobieta. - Bunkier, ciemność, wasze strzały, wasz krzyk... - ale Chłopiec słuchał tego niechętnie. - "Nasza śmierć jest waszej śmierci daleką biedną krewną. Gdy spotka wasza naszą śmierć, nie wita jej na pewno..." - znów zacytował czyjeś słowa. - Symbole są niezbędne - dodał. - Popatrz, jak prędko z waszego Grzesia uczyniono symbol. Tylko matce żywy Grześ jest bardziej potrzebny od symbolu... - Nie jeszcze - sprostowała Kobieta. - Jeszcze Grześ żyje. Ma przed sobą... dziewiętnasty dziś... ma całe dwadzieścia trzy dni przed sobą i uczy się do matury... Doktor mówi, że dobrzy giną pierwsi, ponieważ są słabi. Dlatego właśnie są dobrzy: bo słabi... Żona ojca Pauli słuchałaby rozmowy w milczeniu, wsparta twarzą na białej, pulchnej dłoni. - Szkoda - zwróciłyby się do nich obojga Kobieta w organdykowej sukience - że doktor nie przeprowadził was przez to wszystko. Bajki by wam opowiadał, a potem poszlibyście spokojnie spać...

Wielu ludzi chciałoby, by doktor Edelman przeprowadził ich przez "to wszystko". Doktor wie o tym. Kiedy się do niego długo nie dzwoni, krzyczy ze złością do słuchawki: - Zapomnieliście o mnie, co? Ale jak będziecie musieli umierać, to sobie o mnie przypomnicie!

Każdy myśli: żeby tylko doktor nie umarł przede mną, bo kto się wtedy moim umieraniem zajmie?

Celina pokazała zdjęcia na prywatnej wystawie, w willi na Żoliborzu. Zajęły połowę ściany i z daleka wyglądały jak czarno-białe oprawione miniaturki. Celina była zażenowana powściągliwością zdjęć i podpisów, zwłaszcza, że obok wisiały obrazy wielkie i bezwstydne. Nad literami "S", "O", "L", "I" itd. ustawionymi w kozły jak broń, zatknięto biało-czerwony proporzec, Matka Boska unosiła się nad polami, bezkresny grottgerowski śnieg znaczył ślady krwi na pierwszym planie... A na śniegu Celiny leżały choinki wywleczone ze śmietnika, bojowym orężem były druciane kosze, którymi okładały się kobiety stojące w kolejce. - Pani zdjęcia są z ducha PPS - zawiadomił Celinę publicysta katolicki, obecny na wernisażu. Celina ucieszyła się, ale publicysta był zakłopotany. - Czeka panią doniosłe odkrycie: ludzie rodzą się nierówni. Nieliczni są elitą, reszta musi, niestety, znać swoje miejsce.

- I znów coś przegapiłam - zwierzyła się A. na łące, nad rzeczką Makrat: A. uważał, że najpiękniejsze łąki świata są w starorzeczu Narwi, niedaleko Długosiodła. - Nie jest w dobrym stylu być z ducha PPS w tym sezonie. Wiedziałaś?

Parę dni po wernisażu zadzwonił telefon. Jakiś mężczyzna przedstawił się nieznanym Celinie nazwiskiem i zaproponował spotkanie. Zapewnił, że ją pozna, rzeczywiście, kiedy stanęła

w drzwiach kawiarni, podszedł bez wahania. Był wielki, tęgi, w różowej koszuli, z przetłuszczonym lokiem opadającym na czoło. Przyjrzał jej się brązowymi, wypukłymi oczami, chyba miał kłopoty z tarczycą. Celina próbowała odwzajemnić się spojrzeniem równie bacznym, ale wzrok tamtego był cięższy, jakby zwielokrotniony masą nalanego ciała. Wezwał kelnerkę, wyraził żal, że nie mają białego wina i zwrócił się do Celiny:

- Doskonały aparat. Olympus, prawda? Jeden ruch i to w kieszeni... technika japońska jest zadziwiająca.

Celina potwierdziła skinieniem opinię o japońskiej technice i sięgnęła po cukier.

- Robi pani coraz lepsze zdjęcia, pani Celino. Zaryzykowała "dziękuję" myśląc jednocześnie, że jej uśmiech był zbyt pospieszny i że zapewne obejrzał zdjęcia w willi na Żoliborzu.

- Wie pani nad czym zastanawiałem się? Że nigdy nie robiła pani zdjęć bliskich mężczyzn. Ani pana Janusza, ani pana profesora A...

- Sztuka wymaga chłodnego dystansu - wyjaśniła i spytała czemu zawdzięcza tę rozmowę.

- Chciałem panią poznać... Bardzo cenię sposób, w jaki zapisuje pani świat.

Nie pamiętała, czy kiedykolwiek użyła tego określenia przez telefon, miała wrażenie, że nigdy.

- Nie mam żadnych spraw, proszę mi wierzyć - powtórzył, choć już nie zadawała pytań. - A dlaczego nie zrobiła pani zdjęć panu Witoldowi?

- Komu?

Zrozumiał, że nie wie rzeczywiście.

- Witoldowi K., starszemu koledze Pawła. Musiała go pani znać, kiedy jeszcze Paweł... A jak córeczka się czuje?

Tak, przypomniała sobie. Wysoki, szczupły, drżały mu ręce, kiedy podnosił zapalniczkę do papierosa. Był u Pawła parę razy, potem widywała już tylko jego nazwisko w prasie podziemnej. Mężczyzna milczał, jakby dając jej czas na odtworzenie tych paru szczegółów bez znaczenia.

Mam pewną prośbę. Proszę pozdrowić od Witolda K. ojca pani Pauli.

- Znają się?

Zawołał kelnerkę.

- Szkoda, że nie mają białego wina. A wie pani, gdzie widziałem Cotnari? W sklepie na Rysiej. Proszę nie zapomnieć: ojca pani Pauli, od Witolda K...

Jadąc autobusem zastanawiała się, czego mogą od niej chcieć. Stare zdjęcia z pewnością ich nie obchodzą... Czy sfotografowała kogoś...? Mają własny sprzęt, pierwszorzędny... Wolą, żeby nie opowiedzieli Januszowi o "panu profesorze A.". Wyobraziła sobie twarz Janusza słuchającego

ich rozmów na tapczanie ojca, albo na łąkach nad Narwią. Weszła do farbiarni i zaczęła aż wyjdą klienci.

- Zdjęcia znają z Żoliborza, poza tym wiedzą, że lubię wino Cotnari i profesora A. Tego lekarza - dodała. - Który rekonstruuje twarze z czaszek.

Janusz siedział spokojnie nad skórami.

- Mnie mogą wyrzucić z pracy - ciągnęła - tobie zwiększyć podatki, Julce nie dać paszportu, odebrać działkę...

- Dużo mogą - Janusz oderwał na chwilę wzrok od rozpylacza z farbą. - Ale jakby czymkolwiek grozili ci, powiesz "nie wiem żadnych tajemnic przed swoim mężem".

Zaczerwieniła się.

- Naprawdę nie wiem.

- Przecież wiem - Janusz otworzył wejściowe drzwi i wpuścił klientów.

- Masz pozdrowienia - zawołała od progu w stronę ojca. Nie rozumiała po co tu przyszła, przez ciekawość, czy żeby sprawdzić informację mężczyzny z wypukłymi oczami. Ojciec, jak zwykle na widok gości, otwierał kredens i sięgał po słodycze, troskliwie przysyłane w paczkach przez Paulę. - Tak? - spytał z uśmiechem.

- Od Witolda K.

Zdawało się, że ojciec próbuje coś sobie przypomnieć.

- K... - powtórzyła nazwisko. - Kolega Pawła, w moim wieku mniej więcej. Ukrywa się do dziś.

Ojciec wciąż stał bez ruchu, z błyszczącą, kolorową paczką ciastek i pustym talerzem.

W maju wróciły upały. Posadzili na działce bakłażany i paprykę. Celina nosiła z łąki nawóz, a znad wyschniętego bagna próchnicę i czarnoziem. Sapiąc wdrapywała się na skarpe. Myślała, że któregoś dnia nie zdoła pokonać skarpy z wiadrami w rękach i to będzie nieprzyjemne. Jnusz, słuchając Wolnej Europy, okopywał jednocześnie wiśnie, znad leżaka wystawał brzuch Julki, w pobliżu leżaka kręcił się jeden z dawnych Julki odtraconych wielbicieli. Miał jak oni wszyscy, rzadki zarost, tajemniczą ciężką torbę, parę zaległych egzaminów na uczelni (na każdą nieśmiałą wzmiankę, że może warto by coś pozdawać, odpowiadał z powagą: Jeszcze nie czas...) i ambicje zastąpienia ojca dziecku bohatera. Celina pomyślała, że im wielbiciel miał u Julki mniej szans, tym Jnusz życzliwiej go traktował; dzisiejszemu z wyjątkową serdecznością wyjawiał sekret uprawy greckiej winorośli i węgierskiej wiśni kerezer. Celina wysypała próchnicę. Janusz przyciszył radio i powiedziała, że milicja zabiła w Warszawie jakiegoś chłopca. Celina obłożyła próchnicą bakłażany i zbiegła z wiadrami w dół. Kiedy wróciła ponownie, Janusz powiedział, że ten chłopiec był synem Barbary Sadowskiej, poetki.

Poszła do niej dopiero po pogrzebie. Przysiadła na materacu i powiedziała - Zdarzyło ci się to, czego bałam się najbardziej ze wszystkiego na świecie. Mam poczucie, jakbyś wzięła to na siebie i za mnie... Do umierania za mnie na krzyżu nie upoważniłam nikogo, a ty wzięłaś na siebie mój strach i moje śmierci.

Było to w dwa czy trzy dni po pogrzebie, jeszcze stały kwiaty w wazonach i butelkach po mleku, tłoczyli się obcy ludzie i przybywały delegacje kobiet z całego kraju. Barbara S. skinęła na Celinę i obie schowały się do łazienki. Celina powiedziała: - Umyję ci włosy, dobrze? Odkręciła kran, pomogła jej zdjąć flanelową bluzkę i przeniosła nad jej głową prysznic. W strumieniach ciepłej wody poczuła pod ręką krótkie, proste włosy niewyrośniętej dziewczynki. - Oni chcą, żebym robiła za Rollisonową - roześmiała się znad umywalki Barbara S. - Ale ja się nie dam, bo co by Grześ powiedział? Oni mi przysyłają żalobę, bo byłam na pogrzebie w dzinsach. To są czarne kapelusze - pokazała wypchany wór w kącie łazienki - i welony... Wyobrażasz sobie minę Grześka, jakby zobaczył mnie w kapeluszu? - Zachichotała głośniej. Celina włączyła suszarkę i nawinęła na szczotkę pasmo włosów. - A co u ciebie? - Celina opowiedziała o Pawle, Julce i o skarpie nad Narwią. Od tej pory Barbara S. Nigdy nie zapomniała spytać o Julkę. Albo pytała: - Co będzie, córka czy syn? Każda odpowiedź wydawała się Celinie nietaktem, odpowiadała więc krótko i zdawkowo. Pewnego dnia, kiedy wspomniała, że brzuch Julki nie mieści się już w żadne ubrania, Barbara S. wyjęła z szafy sweter Grzesia. Miał go na sobie, kiedy przewoziła go do szpitala. Miękki, obszerny sweter. Celina zauważyła, że sama czuje się w nim spokojnie i bezpiecznie.

W czasie teraźniejszym tej książki Celina chodzi na proces M. Wysockiego i innych. Ma już zdjęcia upierścienionych rąk kobiety, czytającej akt oskarżenia, twarz sanitariusza, oskarżonego o śmierć Grzegorza Przemyska i oczy Barbary Sadowskiej. Są to oczy głęboko osadzone i łzy nie spływają z nich, tylko zatrzymują się w oczodołach. Ponieważ oczy są niebieskie, łzy robią wrażenie niebiesko-szarych. Barbara Sadowska wychodziła z sali sądowej i szła korytarzem, z niebieskimi łzami, które nie chciały spłynąć, a Celina poszła za nią, wyprzedziła ją, odwróciła się i zrobiła zdjęcie.

Celina знаła Barbarę Sadowską jeszcze z liceum plastycznego, z młodszej klasy. Nie zmieniła się: pozostała chuda, z ziemistą cerą i nieufnym spojrzeniem.

Nie widziały się przez wiele lat, spotkały się przypadkiem, w barku, na Ścianie Wschodniej. Jak gdyby tych lat w ogóle nie było, zaczęły sobie opowiadać sny. We wszystkich snach Barbary pojawiała się matka, zmarła przed paroma tygodniami. W jednym śnie zawiadamiała o dziwnym przypadku reinkarnacji, który stał się jej udziałem, bowiem jej dusza wstąpiła po śmierci w dawne ciało. - Mamy do czynienia z pierwszym znanym przypadkiem, gdy dusza wstępuje w to samo ciało - tłumaczyła osobliwość zdarzenia swojej córce, która teraz, śmiejąc się, powtarzała to przy

stoliku. Ten śmiech Celina rozpoznała, kiedy Barbara opowiadała później o papierosach, wykradanych synowi. Kupiła mu na urodziny, w cztery dni po śmierci, obiecaną zapalniczkę Ronsona, włożyła ją do trumny - A fajki obok, gauloisy, a jak, i czekamy z Marzenką, aż go ubiorą. Siedzimy, palimy, wypaliłyśmy wszystkie swoje papierosy i zaczynamy podpalać Grzeška... Jednego mu zabieramy, drugiego...

- Włożyłaś do trumny puste pudełko? - przerwała Celina.

- Eeee, ze cztery jeszcze mu zostały - i zaczęła się śmiać z głupiego numeru, jaki zrobili Grzesiowi z Marzenką, jego dziewczyną. Celina ze zdziwieniem zauważyła, że łatwo nauczyła się dzielić ten śmiech, jak gdyby był jej własną potrzebą od dawna, tyle że przedtem nie uprzytamniała jej sobie.

- ... - Między tu i tam nie ma nic, nie ma nawet szybki. Czy mnie kto popchnie, czy mnie kto przeciągnie na tamtą stronę - nie ma nic... - mówiła Celinie. Było to w szpitalu. Chorowała na zapalenie oskrzeli, na korytarzu leżały staruszki z czaszkami obciążonymi białą skórą; myła je i podawała im baseny. Któregoś dnia powiedziała: - Ja już dłużej nie chcę być - i stała się podobna do staruszek, ale minęło parę dni, spojrzała na zegarek, powiedziała - O, druga, Grześ jeszcze żyje - i wróciła do życia raz jeszcze.

...- Ja się tak śmiesznie niczego nie boję. Ja się boję tylko jednego, że nie ma Tam. Ale jest Tam, jest. Zimne, śliskie i zwyczajne - mówiła.

...- Papierz pachnie sadem - mówiła. - Przytulił mnie, jak się zaplątałam w tę jego szatę. Szeptał coś i szeptał, zaczekałam aż przestanie i powiedziałam - Ojczy, ktoś musi pomóc Jackowi K...

...Któregoś dnia Celina zastała u niej niemłodego mężczyznę. Wyglądał na robotnika, który włożył najlepszy garnitur i chciałby robić na ludziach dobre wrażenie. Siedział za strajk, był na przepustce. Powiedzieli mu w więzieniu, że jak znajdzie kraj, który go zechce, dadzą mu paszport. Właśnie wybierali się do miasta, on z niezłym fachem kierowcy na wszystkie rodzaje pojazdów, i ona, pogwizdująca, pogodna, bo na grobie Grzesia było wczoraj wyjątkowo dużo ludzi i kwiatów. Zamierzali wędrować po ambasadach i szukać kraju, który zechce niemłodego mężczyznę z niezłym fachem.

...Któregoś dnia Celina zastała u niej starszego kolegę Grzesia.

- Ty jesteś ze mną, no nie? - pytała go, a chłopiec odpowiadał:

- Nie, jestem samoswój.

- Usiądź mi na kolanach - poprosiła go.

- Nie, ja jestem samoswój.

- No, usiądź - powiedziała Celina zza okularów, znad książki, jak mogła najobojetniej.



Usiadł ostrożnie, starając się nie dotykać jej kolan, a matka Grzesia przygarnęła go ramionami i oparła głowę o jego czoło w okropnym zmęczeniu. Tak wyglądała tamta Matka - pomyślała Celina. O której ktoś mawiał "Miriam, nie żadna Maria", już nie wiadomo, kto dokładnie.

Siedzieli nieporuszeni, sądząc, że śpi, ale ocknęła się i zaśpiewała głośno:

Czemu tak dręczysz mnie

Córo grabarza

Świeże kwiaty wciąż przynosisz na mój grób

Biała suknia czarny włos

Nie uwierzę, że przychodzisz tu

Co rano...

Wybuchnęła śmiechem. Rozkaślała się. Próbowwała śpiewać dalej, ale zachrypiała i umilkła. Zapytała: - Jak Julka? co się urodzi, córka czy syn? Celina odpowiedziała, że Julka ma się nieźle, pożegnała się i przez rok nie przychodziła, żeby Barbara S. nie musiała ją pytać o wnuka. kiedy wróciła, próbowała wytłumaczyć, dlaczego jej długo nie było. Gospodyni odprowadziła ją uprzejmie do drzwi i zapytała w progu: - Przyszłaś mi powiedzieć, że nie będę miała wnuka, prawda?

Kiedy mężczyzna w różowej koszuli zgłosił się ponownie, pomyślała, że chodzi o sprawę Przemyska. Odsunął filiżankę, przetaił papierową serwetką stolik i z firmowej koperty Orwo zaczął wyjmować fotografie. Były na nich sceny z manifestacji ulicznych, z pogrzebu Grzesia, grupki przy krzyżu z kwiatów na Placu Zwycięstwa - wszystko odkładał bez słowa, jakby szukał czegoś, wreszcie znalazł i przesunął w stronę Celiny: - Chciałbym zasięgnąć pani rady...

Nie biorąc zdjęcia do rąk Celina zobaczyła nieładną szczupłą kobietę, którą skądś znała. Uprzytomniła sobie, że to nauczycielka siejąca kardy, bo twardo brzmią, a brokuły, bo brzmią matowo - postać z pierwszego ilustrowanego przez nią reportażu. Kobieta stała pod drzewem, o zmroku; Celina przypomniała sobie, że to morelka, ale nie pamiętała, by fotografowała cokolwiek w plenerze i wzięła zdjęcie do rąk. Teraz zobaczyła stojącą z boku samą siebie, jakąś dawną, ponurą, z dłuższymi włosami.

- Robiliśmy to długim obiektywem - zauważył mężczyzna.

- Nie - powiedziała Celina i usłyszała swój zmieniony, zachrypnięty głos - to nie był długi obiektyw.

- Nie? - zdziwił się niezbyt chyba szczerze, mężczyzna.

- Tło jest ostre, zdjęcie robiono z bliska. Tylko po co pan pyta, każdy z waszych fachowców...

- Interesuje mnie ten człowiek - powiedział mężczyzna, nie zwracając uwagi na słowa Celiny. - Ten, tutaj...

Między nauczycielką i domem, w głębi, bokiem do obiektywu, widać było jakąś sylwetkę. Najpewniej przechodzień, trudno się było zorientować w ciemnościach.

- Przechodzień - wzruszyła ramionami Celina. Zastanawiała się o kogo w istocie chodzi, o nauczycielkę, o przechodnia czy o nią. I kto robił zdjęcia, szerokokątnym obiektywem, taśmą highspeed. czterysta asa... - myślała odruchowo. Ktoś, kto stał wśród nich. Ona nie, nauczycielka nie, obie były przecież na fotografii... (- Ja jestem - powiedziała Celina dziennikarce tego wieczoru. - Nauczycielka jest, zresztą nie miała aparatu. Poza nami tylko ty jeszcze byłaś... - Ja też nie miałam aparatu - powiedziała dziennikarka. - I nie robię zdjęć, dlatego właśnie zabrałam cię na reportaż... - Mimo wszystko ciebie na zdjęciach nie ma. - Celino - powtórzyła dziennikarka. - Ja zdjęć nie robiłam, przecież wiesz. - Wiem. Ale zastanów się. Byliśmy trzy, prawda? I my z nauczycielką...)

- Jeśli przypomni sobie pani, kim mógł być ten człowiek - zakończył mężczyzna przy stoliku - będę niezmiernie wdzięczny za wiadomość. Zapiszę telefon...

- Nie przypomnę sobie - powiedziała szybko Celina i odsunęła serwetkę z numerem w stronę mężczyzny.

- Dobrze zrobiłaś - pochwaliła ją dziennikarka. - I myślę, że nie interesuje ich żaden przechodzień. Chcieli cię zaniepokoić. Za dużo cię było przy tym wszystkim: przy Pawle, doktorze Edelmanie, Barbarze S. Chcieli zaniepokoić cię i to im się udało.

- Nic się nie udało - rozzłościła się Celina. - Po prostu są do wyjaśnienia pewne rzeczy: zdjęcie zrobiono z bliska, choć nie było tam nikogo prócz nas, i ani ja, ani nauczycielka...

- Celino - powiedziała dziennikarka. - Odpieprz się. Czytałaś Kucharzewskiego i wiesz, co wynika z podobnych paranoi. Poza tym - czy ty nie mogłabyś pożyć normalnie? Córką, wnukiem, działką, Mundialem, profesorem A..., A jak już musisz mieć coś niezwykłego, to prezydent Sukarno mógłby chcieć za dwieście tysięcy dolarów odkupić cię od Janusza. Jak matkę mojej znajomej - zobaczył ją w Poznaniu na Targach i natychmiast przysłał do męża sekretarza z czekiem. Znajoma jest pewna, że dałoby się i dwieście pięćdziesiąt wycisnąć i nie może pojąć lekkomyślności swojego ojca do dzisiaj. Co ty na to? Nie wyglupiam się, tylko proponuję: prezydent Sukarno. Za dwieście, i skończ wreszcie z tamtym - dziwnym i smutnym...

- Nie ja z tamtym jestem - powiedziała Celina. - "Tamto" jest przy mnie. Zgłasza się. Samo zgłasza się ze swoimi sprawami. Wszyscy słyszeli o nich - o areszcie domowym doktora Edelmana w rocznicę getta, o śmierci żony Jacka Kuronia, o synu Barbary Sadowskiej... Słyszeli wszyscy, ale ja otrzymuję swoją wersję, innym nieznaną. Świąteczny obiad, organdy nową sukienkę, wór z

czarnymi kapeluszami... Dlaczego ja? Dlaczego otrzymuję cząsteczkę przeznaczoną tylko dla mnie...?

- To logiczne - powiedziała dziennikarka. - Skoro jesteś, by zapisywać, życie podsuwa ci rzeczy warte zapisania. Ładnie ze strony życia, że właśnie tobie podsuwa je, ale i to rozumiałe: rewanżuje ci się za życzliwość.

Odszukanie Witolda K. nie było trudne, wystarczył list przesłany przez dawnego łącznika Pawła. Przyszedł po paru dniach, wręczył Celinie bukiet róż i z niedużej torby wyjął, jak uczeń, ranne pantofle. Przypuszczał, że chodzi o Pawła i chyba obawiał się że Celina oczekuje jakiejś interwencji, ale Celina go uspokoiła: Julka radzi sobie z dzieckiem doskonale.

- Pewien mężczyzna - wyjaśniła - poprosił, żeby pozdrowić od pana ojca Pauli...

Witold K. nie miał pojęcia, kim jest ojciec i zdziwił się, że Celinie chce się wyjaśniać taki drobiazg. Wolał dżin bez wody i spytał, czy mógłby obejrzeć jej zdjęcia. Celina sięgnęła po teczkę.

- Ten mężczyzna ma wylupiate oczy - dodała. - Pozdrowiłam od niego ojca Pauli i myślę, że ojciec pamiętał... To ten. - Znalazła zdjęcie z podpisem "Święto Pesach. Czekanie na proroka Eljasza". Niestety, ojciec miał pochyloną, nieczytelną twarz, znacznie wyraźniej było widać cienie świec i kieliszki z winem. Witold K. kartkował zdjęcia i z uwagą przyglądał się smutnym, miejskim pejzażom, rękom zomowca, brzuchowi Julki w swetrze Grzesia, twarzy doktora Edelmana i pustym nakryciom na jego stole.

- Nie wiedziałem, że robi pani takie zdjęcia...

- Nie mogłam go o pana spytać. Zdenerwował się, a choruje na serce... Jak pan myśli, dlaczego się zdenerwował?

Witold K. wciąż przyglądał się twarzy doktora.

- Kim jest ojciec pani Pauli - spytał, nie odkładając zdjęcia.

- Jego córka mieszka w Johannesburgu - zaczęła. - Ukrywały się obie u mojej matki, ale żona śpiewała zza szafy "Księżniczkę Czardasza". Miała zresztą ładny głos... - Witold K. popatrzył na nią znad fotografii. - A on walczył w Hiszpanii... To moja dobra znajoma - dodała. Ta córka. Nasza właściwie, mojego męża też...

Wszystko brzmiało dość bezsensownie i Celina zamilkła. Witold K. zapalił papierosa, zauważyła, że już ma spokojne ręce.

- Wrócił po wojnie - powiedziała rzeczowo. - Matka mówiła, że był cały w ruchu, w wibracji, że przypominał jej drganie noża, wbitego z rozmachem w drzewo... Chodziło jej nie o chybotliwość, tylko o sprężystość noża, o siłę...

- Ładne porównanie - uśmiechnął się Witold K.

- Wie pan, co mi przyszło na myśl? Ta jego siła, ta inność, musiały fascynować moją matkę. Panie Szymonie, mówiła, nie miałam pojęcia, że pański świat istnieje naprawdę... Ale ja go pamiętam, jak był smutny i stary.

Skąd on pana zna, jak pan myśli?

Zaproponowała Witoldowi, by przebiegł myślą wydarzenia ostatnich lat, może w ten sposób uprzytomni sobie kiedy się spotkali.

- Ilu ostatnich lat? - zapytał.

- Bo ja wiem... Dwudziestu?

- A kiedy wrócił do Polski pan Szymon?

W czterdziestym szóstym.

- W takim razie trzydzieści osiem lat mam przebiec myślą...? Znam wspaniały przepis na konfitury, chce pani? Każde owoce oddzielnie posypujemy cukrem i nastawiamy na noc, następnego dnia gotujemy sok, wsypujemy po kolei owoce i gotujemy od zawrzenia po piętnaście minut... To jest przepis z pierwszej połowy dziewiętnastego wieku, z guberni kostromskiej...

Celina zanotowała przepis na kostromskie konfitury i spytała, co Witold K. robił zaraz po wojnie.

"Hej, Jesteś?"

Tu, u nas, książka, o której wspominałam ci, ma przeszło sto stron. Czytałeś pewnie? Więc znasz zakończenie. Zabawne. Ja nie znam.

Andrzej Kijowski (mówił o tym na jego pogrzebie ksiądz Pasierb) uważał, że Bóg zna zakończenie wszystkich książek, nie napisanych także. I że pisać należy tak, by się naszymi książkami nie znudził, chociaż zna koniec.

Tu, u nas, wielu ludzi mówi teraz o Bogu.

- Jest nieustającą obecnością we wszystkich. W pająku, w pani, w ogniu, w tej serwetce... - opowiada mój znajomy, Krzysztof Masewicz. (Wiedziałem o tym. Nie pamiętam: od kogoś, czy od zawsze?) - W kamykach jest - uzupełniłam. - Które podnosił Witold K. z ziemi w Treblince... Ale we mnie? Ja jestem tak rozpanoszona w sobie, że już nie ma miejsca na nic. Może jeszcze na strach, na nic więcej...

Jacek Kuroń, mąż kobiety w organdykowej sukience, postanowił uwierzyć, nie żeby być z Bogiem, tylko z nią. Ćwiczył sumiennie istnienie Boga, jak ćwiczył wiele rzeczy po więzieniach, po czym uczynił z odzyskanej wiary pierwszy użytek.

Przyjechał wysłannik Sekretarza Generalnego ONZ, żeby pośredniczyć między więźniami z "Solidarności" i rządem, a Jacek nie wiedział - zgodzić się na warunki władz, czy zostać w więzieniu. I zaczął usilnie prosić o znak w tej sprawie. I Bóg dał mu znak. Przyśnił mu się Jan

Paweł II w swojej białej sutannie i kazał czytać Pismo Święte. - Ale gdzie szukać? - spytał Jacek i Jan Paweł II przypomniał mu - w tym śnie wszystko - rozmowę z Kardynałem. Kardynał opowiedział kiedyś Jackowi o Eleazarze, któremu groziła śmierć, jeśli na rozkaz króla nie zje wieprzowego mięsa. Przyjaciele próbowali ocalić go: zapewniając króla, że zje wieprzowinę, chcieli podsunąć starcowi mięso koszerne. Eleazar rzekł: "udawanie nie przystoi naszemu wiekowi" i wybrał raczej "chwalebłą śmierć niż godne pogardy życie". Przeczytawszy teraz w Księdze Machabejskiej przypowieść o Eleazarze, który postąpił - "jak powinni postąpić ci, którzy mają odwagę odrzucić to, czego nawet przez miłość do życia jeść nie wolno...", Jacek pojął, że musi odrzucić warunki rządu i mediację ONZ...

Hej, słuchasz?

Czy aby nie masz trudności w rozumieniu realiów? Jacek - "Solidarność" - Kardynał... Kto wie, czy tam, u ciebie, nie należałoby zaopatrzyć książki w przypisy historyczne. A. uważa wprawdzie, że przysły podręcznik historii poświęci Jackowi spory akapit, ale czy podręcznik ów jest już w twoim czasie?

Po amnestii ludzie zwolnieni z więzień spotykali się ze wzruszoną, patriotyczną publicznością. Na jednym ze spotkań Jacek opowiadał: moja żona napisała mi do więzienia list "modlę się dla ciebie o siłę...". Odpisałem jej - "ty się, droga żono, pomódl lepiej dla mnie o drugą d., bo mi się w jednej czekolady z paczek już nie chcą zmieścić..." Ale widząc twarze zgromadzonych pań, pospieszył z pociechą - Niech się drogie panie nie martwią. Moja żona umarła wkrótce potem i z całą pewnością umarła przez wszystko to, co stało się w Polsce.

Wracając do Boga, o którym tu, u nas, wielu ludzi teraz rozmyśla.

Zaczęłam się do Niego zwracać słowami "cudzej" modlitwy. Nie do Niego właściwie, tylko do Miriam. Pierwszy raz zrobiłam to na prośbę katolickiego publicysty, tego, który na wernisazu mówił o moim duchu PPS. Szedł do prymasa i należało odmówić "Zdrowaśkę" w intencji spraw, które były ważne. Publicysta katolicki jest człowiekiem niewierzącym, więc mnie - z ducha PPS - poprosił o pomoc.

Tego wieczoru z pewnym trudem przypominałam sobie tekst modlitwy. Czołobitny wstęp nie podobał mi się. Był nieprywatny i nawet sumitowałam się przed Adresatką, że zwracam się tak zdawkowymi słowami ("- daruj: nie układałam ich..."), natomiast zakończenie było ważne. "Módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej..." A więc tylko dwa punkty w czasie mają znaczenie "teraz" i "godzina śmierci". Z każdą odmówioną "Zdrowaśką", jak z piaskiem w klepsydrze, przybliżają się do siebie, aż nadejdzie moment, gdy "teraz" i "godzina śmierci" staną się jednym.

Katolicki publicysta zawiadomił, że "Zdrowaśka" okazała się niewiarygodnie skuteczna. Od tej pory zaczęłam się zwracać jej słowami i w innych sprawach, najpierw w sprawie Witolda K. Został u nas na noc któregoś dnia, a nad ranem usłyszałam, jak idzie do drzwi. Powiedział, że od trzech lat, od kiedy się ukrywa, codziennie budzi go donośny dzwonek. Jest pewny, że idą po niego, zrywa się, patrzy przez wizjer - cywile czy mundurowi; korytarz jest pusty. Wie, że dzwonek mu się śni, ale nazajutrz słyszy go znowu.

Następnego ranka, zanim jeszcze pobiegł do drzwi, powiedziałam: - Mogłabyś coś zrobić z tymi dzwonekami. Niech śpi, co Ci szkodzi... I odmówiłam "Zdrowaśkę" za sen Witolda K. Odmawiałam ją co rano przez wiele tygodni. - Była tak znudzona - powiedział Witold - że wolała się uwolnić od pani natrętnych próśb jak najprędzej. Dzwonki nie śniły mu się już nigdy.

Krzysztof Masewicz, który wie, że Bóg jest we wszystkim, opowiada o cykadzie. - W moim domu na poprzecznej belce stroiła swój instrument. Był podobny do półksiężyca...

Krzysztof Masewicz zauważa cykady, bo wie, że Bóg jest i w nich. Nauczył się uważności dla świata i zgody na świat, jaki jest. Nauczył się miłości dla świata, jaki jest, ale jego miłość wydaje mi się za łatwa. Łatwo kochać cykadę, ale co z miłością do zomowca, w którym też przecież jest Bóg...? I co z modlitwą za sen zomowca? Łatwo modlić się za sen Witolda K., ale kto się pomodli za zomowca, któremu śni się, że używa, "naturalnie zgodnie z regulaminem", broni palnej i że po jego strzale jakiś człowiek...

Hej!

Słuchasz?

Witold K. opowiadał mi o kamykach.

Zauważył je między betonowymi płytami obok pomnika. Najpierw zauważył dziwny, nienaturalny kolor ziemi, a potem te drobne, jaśniejsze kamyki. Schylił się. Uczył się anatomii w liceum sztuk plastycznych i na biologii i rozpoznał bez trudu kostkę palca. Schylił się znów i ze szczelin między płytami podniósł krąg szyjny. Potem kość promieniową i kawałek czaszki. Jedne kości były zwęglone, czarne, inne białe - po spaleniu została w nich tylko struktura wapienna, jeszcze inne żółte, z resztką substancji organicznych. Nie mieściły mu się w dłoni, nie wiedział co zrobić, nie mógł wyrzucić ich z powrotem na płyty, zdjął czapkę i zbierał do niej kości, jak grzyby. Potem poszedł do lasu, pochować swoje grzybobranie, ale nie miał szpadla, ułożył tylko pod drzewami i troskliwie przykrył liśćmi.

- Tak niewiele można zrobić ze światem - mówił Witold. - Historia jest jak las, jak pory roku. Idzie swoim torem, nie wiadomo przez kogo wprowadzona w ruch i nie ma żadnego znaczenia, czy zgadzasz się, czy się nie zgadzasz na świat. Przychodzi dzień, kiedy nie możesz żyć jak dotychczas. Nie dlatego, że się nie zgadzasz, tylko zaczynasz żyć jak musisz żyć, cokolwiek to

znaczy. A ludzie, którzy cię wtedy umacniają, to ci, co odeszli. Których do odejścia zmuszono. Usunięci ze świata. Tyle tylko możesz dla nich zrobić: żyć, jak musisz żyć...

Jest taka stara modlitwa:

Boże, daj mi odwagę i siłę, bym zmieniał, co mogę zmienić,  
daj mi cierpliwość, bym znosił czego zmienić nie mogę,  
daj mi rozum, bym odróżnił jedno od drugiego.

Tak mówił tu, u nas, Witold K.

Hej!

Słuchasz?"

- Zaraz po wojnie... - powtórzyła swoje pytanie Celina, ale jeszcze nie działo się nic, czekali. Czasami pojawiał się ktoś - obcy, oszroniony, duży... Zaraz powstawało zamieszanie, pospieszne szepty, wreszcie przybysz brał go na rękę i całował zimnym, mokrym zarostem. Wyjaśniało się, że to jest ojciec. Ostatni raz powrócił, kiedy nie było śniegu. Stał w drzwiach, w dziwacznej, zielonej chustce na głowie na brudnych bandażach i z zawiniątkiem w ręku.

...W zawiniątku była miska. Żądał później, by matka nakładała mu do niej zupę, drugie i deser, i tak je do dzisiaj, przez całe trzydzieści lat od powrotu.

...Dlaczego go nie poznał? Jeździł na widzenia wiele razy i nigdy nie miał wątpliwości, że twarz, która się ukazywała we wnęce, jest twarzą ojca... Pociąg przyjeżdżał do Wronek o piątej, dozorczy zaczynali zamiatać ulice, ktoś podnosił żaluzje w oknach, ktoś wyprowadzał psa, w piekarni już były świeże bułki. Jadł bułkę i szedł na wzgórze przed więzieniem. Stali pod nieszczelną wiatą, co jakiś czas wyczytywano nazwiska. Czekanie trwało kilka godzin, wreszcie padało nazwisko ojca. Zaczynały się bramy, korytarze, otwierane i zamykane zamki, głuche jak gong, odbite od ścian dźwięki kluczy, i człowiek zastanawiał się czy te wszystkie drzwi jeszcze kiedy otworzą się w drodze powrotnej. Ostatnie drzwi otwierały się do pokoju widzeń. W głębi, za siatką, była wnęka w murze, w połowie wnęki krata, znów siatka i za tamtą siatką był ojciec.

...Czekanie po wojnie było takie, jak jego na koniec "Solidarności". Wiedział, że którejs nocy muszą po ojca przyjść, i pewnej nocy przyszli. Słyszał kroki, głosy, babka coś mówiła o ciepłej bieliźnie, rano panowała już cisza.

Kiedy wrócił ze szkoły trwała rewizja. Po kilku godzinach jeden z mężczyzn powiedział - "ubieraj się". Założył wiatrówkę. Dwaj mężczyźni wyszli do ogrodu, było już ciemno, usłyszał szcęk broni i czyjś głos: "nie radzę ci uciekać". Za nim wyszli dwaj pozostali. Ruszyli w stronę stacji. Jeden z idących na przódzie był wysoki, w przykrótkich spodniach i czarnych, chyba przyciasnych lakierkach, drugi niższy, ciemny, w berecie, mimo lata. Minęli las i zaczęły się piaski.

Kiedy weszli na przejazd, skręcił w stronę peronów, ale któryś powiedział - "prosto". Szli dalej - zaczynały się wydmy i rzadkie laski sosnowe, za nimi był wał i rozlewiska Wisły. Pomyślał - aha, rozwałą mnie na rozlewiskach... Ale w lesie zapaliły się światła reflektorów. Wsiedli do citroena, w wieku piętnastu lat miał za sobą największy strach całego - minionego i przyszłego życia.

Wieczorem Witold spytał, czy mógłby zostać na noc. Naturalnie - powiedziała Celina. Wyjął piżamę, szczotkę do zębów, poza tym w torbie mieściła się tylko biblia, jedyna książka na którą nie potrzeba zgody naczelnika więzienia. Nad ranem zastała go przy wizjerze. Następnego ranka powiedziała - "Mogłabyś coś zrobić z tymi dzwonkami..."

- Kim był człowiek, który siedł przed panem? - spytała Celina. - Ten w berecie, niższy.

- Nie wiem - zdziwił się Witold. - Nie widziałem go już nigdy. Ale to chyba była czapka.

- "W berecie mimo upału" - powiedział pan. I słusznie. To był baskijski beret, jeszcze z Hiszpanii. Ma go do dzisiaj - sięgnęła ponownie po zdjęcie. - Proroka nie widać jakoś, ale beret dokładnie.

- A wie pan - ciągnęła - że i ona czekała na ojca? Na jego powrót z Francji, zaraz po wojnie, a później co wieczora. Wracał z pracy bardzo późno, więc ze szkoły przychodziła do nas. Zabierał ją do domu zawsze zmęczony...

- Każde czekanie na ojca jest smutne - zauważył Witold.

- Ależ ona nie była smutna - zawołała Celina. - Zza tej szafy wyszła ze straszną siłą! Nie ma pan pojęcia, jaka wesoła była zawsze!

W głosie Celiny dźwięczała chyba uraza do Pauli za tę wesołość, bo Witold powiedział:

- Chwała Bogu, że przeżyła. To było nadzwyczajne ze strony pani matki.

- Tak - zgodziła się. - Przeżyła, to nadzwyczajne. Ciekawe... - zamilkła na moment - jak ułożyłoby się wszystko bez niej. Bez jej obecności w naszym życiu.

Nie była smutna, nie...

Witold podziękował za dzin, nie wypadało jej dolewać sobie, więc zakręciła butelkę.

- ...i ładnie się ubierała. Ojciec wracał wprawdzie zmęczony ale zarabiał dobrze. Nam też czasami dawał prezenty. Matce przyniósł kiedyś kupon wełny.

- Dostawali je w nagrodę - wtrącił Witold. - Miałem ucznia, syna klawisza z Rakowieckiej. Mówił mi, że wykładano tam wykazy dodatkowych prac, na których ochotnicy wpisywali swoje nazwiska. Jak któryś miał akurat czas, albo potrzebny mu był porządny materiał, wpisywał się na listę i dostawał później kupon wełny.

- Za co?

- Ojciec mojego ucznia wpisał się za wykonanie wyroku.

- No wie pan - obruszyła się Celina. - Ojciec Pauli na pewno nigdy by... Zamilkła znowu.



- Obie z matką uszyłyśmy sobie spódnice. Ja w mojej zdawałam maturę i egzamin magisterski. Taka solidna spódnica, bez polotu w doskonałym gatunku. Paula nigdy nie założyłaby czegoś podobnego i nie wróciłaby w czymś podobnym, pachnąca, nad ranem.

Zachciało jej się płakać. Nie wiadomo - nad sobą, w spódnicy bez polotu?, nad ojcem, który otrzymał nagrodę?

- On jest chory - mówiła płaczliwie.

Jego żona śpiewała i trzeba ją było oddać do wariatów...

W niedzielę zapraszał nas na obiad. Gotował na sposób francuski, pierwszy raz jadłam wtedy cykorię...

Czy mówiłam panu jak pojechał do Paryża? Pracował w fabryce i nie poszedł na pogrzeb Thoreza. Nawet maszyny nie wyłączył. Moja matka nie mogła tego zrozumieć. Teraz wiem: to nie był protest przeciw Thorezowi, to było przeciw mężczyźnie, prowadzącemu przez las piętnastoletniego chłopca.

Piliśmy Beaujolais...

Tego dnia dowiedział się, jak ginęli pacjenci szpitala dla wariatów, a Janusz mówił, że Paula wiedziała od dawna. Janusz zawsze wiedział to, co wiedziała Paula.

Dobrze, że chociaż ona przeżyła, prawda?

- Pani Celino... - Witold wstał i gorliwie zabrał się za zmywanie naczyń. - Proszę pamiętać: to była czapka. To nie był on.

- On, on. Może to pan nie był, ale on na pewno.

Zaproszenie do Rzymu, jeszcze jeden - poza mężczyzną w różowej koszuli - skutek wystawy na Żoliborzu. W galerii fotograficznej, tuż obok Schodów Hiszpańskich, zapragnęli pokazać "Twarze kobiet". Celina długo wybierała swoje bohaterki: niemłode i nieszczępłe poetki-robotnice, czytające na głos swoje wiersze, nauczycielkę siejącą kardy, bo twardo brzmią, góralkę, której czterdziestoletni syn dwudziesty rok odsiaduje zabójstwo na zabawie (" - Już pisali, że ma wyjść, już jak szłam doić, zostawiałam otwarte drzwi, żeby nie upuścić mleka, jak on by tak nagle zastukał do obory" - mówiła Celinie). Julkę z dzieckiem...

Julka stała z Kubusiem na ręku w oknie, w ich domu - jest to dawne mieszkanie Celiny rodziców, w którym Paula, i jej matka, i Celina, i Janusz w swetrze z resztek... - a w głębi, zwrócony do Julki twarzą, stał jeszcze ktoś, jakiś mężczyzna. Celina bardzo lubiła to, zrobione przypadkiem, zdjęcie. Niosła zakupy dla dziecka, spojrzała w okno, zobaczyła Julkę i wyjęła aparat. Kiedy wywołała film, okazało się, że słońce jest gdzieś z boku, we wszystkich szybach odbija się niebo, a ciemny zarys kamienicy jest ledwie widoczny. Sprawiało to dziwne wrażenie: świat wypełniony oknami z niebem, zawieszonymi w powietrzu. Dopiero po chwili zauważało się

w jednym z okien kobietę, dziecko i zwróconą ku nim sylwetkę mężczyzny. Mężczyzną był Witold K. Celina nie dostrzegła go z ulicy i zobaczyła dopiero na odbitce. Zaproponowała, że na wszelki wypadek zniszczy kliszę, ale Witold ją uspokoił. Nikt go nie rozpozna, a zdjęcie jest naprawdę udane. Ktoś o trójce w oknie powiedział: "Święta Rodzina". Ktoś inny, czy nie A.?, zawiadomił, że wykusze, dzięki którym niebo tak wspaniale załamywało się w szybach, pochodzą z twierdz obronnych; można było z nich się wychylić i obserwować mur. Celina nazwała to "Okna" i pozostawiła bez podpisu.

Dzień przed wyjazdem przyszła łączniczka i zaprowadziła Celinę do mieszkania, w którym Zbigniew Bujak poprosił ją o przekazanie do Rzymu paru słów. Ze strachu, czy z nadmiaru wina, Celina nie rozumiała, co właściwie chciałby przekazać. - Niech pan to powie jeszcze raz, możliwie najkrócej - poprosiła. - Proszę powiedzieć im, że my tutaj tramy, powtórzył Bujak. - I co dalej? - spytała Celina. - I będziemy trwać. Celina pomyślała, że bohaterowie jej dawnych zdjęć, ci z białoczerwonymi opaskami, zaintonowaliby w tym miejscu "Nie rzucim ziemi skąd nasz ród...", ale organizm Celiny nie wytwarza, jak wiadomo, podobnych wzruszeń. Na odwrót, wytwarza zażenowanie. - Teraz rozumiem - powiedziała odwracając wzrok od Zbigniewa Bujaka.

W Rzymie Celina pomogła właścicielowi galerii w rozmieszczeniu swoich prac, a później oglądała w kościołach smutne, czarne oczy, patrzące na nią z wszystkich plafonów. Były to oczy ludzi, uczących się w mieszkaniu ojca Pauli bycia Żydami, ale po wrzuceniu dwustu lirów do gablotki z informacją, Celina dowiadywała się, że to oczy Boga i Jego proroków.

Wieczorem ksiądz z Watykanu pokazywał jej Rzym. Było ciepło, krążyli samochodem wokół oświetlonych murów Colosseum. Przed światłem, na kontrze - pomyślała Celina, przesuwały się jedna z drugą ciemne sylwetki ludzi śpiewających Te Deum.

- Proszę księdza - powiedziała. - Bujak prosił przekazać, że oni tam trwają.

Ksiądz milczał. - Nigdy jeszcze nie słyszałem Te Deum śpiewanego tak pięknie - powiedział po chwili.

Pieśń wynurzała się z mroku i sunęła wzdłuż murów, zwoielokrotniona światłem.

- I jeszcze prosił powiedzieć, że będą trwać.

- Aha - ksiądz nie patrzył na Celinę. - Tak oświetlonego Colosseum też jeszcze nie widziałem, dlaczego pani tego nie ogląda.

- Bo ja wasze Colosseum pieprzę - odparła Celina i ze zdumieniem poczuła, że jej organizm wytworzył wspólnotę ze Zbigniewem B. Wspólnotę wstydu pewnie, bo przecież nie trwania, ale i tak absurdalną. Ksiądz miał oczywistą rację, najważniejsze jest trwanie Colosseum.

Nazajutrz odbył się wernisaż.

Przyszło sporo osób, ktoś wyraził opinię, że podpisy Celiny pod zdjęciami mogą sprawić kłopot włoskiemu odbiorcy, ale dziennikarz z "Il Manifesto" zamówił kilka reprodukcji, starszy pan zapewnił po polsku, że zdjęcia są bardzo przyjemne, słowem - miło.

Dwa dni później zadzwonił właściciel galerii: Zginęły "Okna". Pogratulował, bo trudno o lepszy dowód uznania publiczności. Celina śmiała się razem z nim, a nad ranem obudziła ją myśl: Witold.

- Jasne, że chodzi o niego - powiedziała zmienionym głosem. - Wezmą szkło powiększające, porównają z listem gończym, co to dla nich...

- "Wezmą"? - pytał ksiądz. - Ale kto?

- Oni - wytłumaczyła Celina i dodała, że ksiądz za długo już przebywa w tym Watykanie. Co się dziwić zresztą. Skoro brewiarz odmawia po włosku, jak może pamiętać, kim są Oni.

- Z pewnością ambasada - powtarzała. - Kim był na przykład ten starszy pan, mówiący po polsku?

- Mieszka w Rzymie czterdzieści lat, niech się pani uspokoi... - prosił ksiądz, ale kiedy Celina zapewniła, że oni już mogli zidentyfikować dom, zabrać Julkę, a Kubusia oddać do milicyjnej Izby Dziecka, sam zaproponował, żeby dzwonić do Warszawy. Julka, łaskawa jak nigdy, wołała. - Rozmyślałam się, kup Nordiki o numer większe! i Celina kulturalnym już, śródziemnomorskim głosem przeprosiła księdza za kłopot.

Wieczorem znów ogarnęły ją wątpliwości: Julka z Kubusiem wprawdzie są, ale nie wiadomo co z Witoldem. W nocy nabrała pewności, że Witolda już rozpoznali na zdjęciu, a Julce tylko dlatego dają spokój, bo obserwują dom. Próbowwała przypomnieć sobie gości wernisażu, sami Włosi, ale - i mężczyzna, który nie odezwał się w żadnym języku, i kobieta, mówiąca po włosku, za to z dużą torbą na ramieniu, z napisem "Polski len"...

Rano pobiegła do "Il Manifesto" i poprosiła dziennikarza, który robił na wernisażu zdjęcia, o odbitki. Odnalazła na nich oboje - i milczącego mężczyznę, i kobietę z torbą. W dodatku - nie było wątpliwości! - kobieta wyraźnie patrzyła w stronę "Okien". Spytała dziennikarza, jak myśli, które z nich mogło ukraść zdjęcie. Ubawiony Włoch zaproponował, że powtórzy jej pytanie w recenzji z wystawy, ale Celinę napełniło to przerażeniem: nie wolno zwracać uwagi na całą sprawę! Włoch zauważył ze współczuciem, że Polacy przyjeżdżający do Rzymu są znerwicowani, a Celinie przypomniał się przyjaciel właściciela galerii, czekający na nią na lotnisku. - Miło, że nie uśmiechała się pani jak wszyscy Polacy - mówią w samochodzie, w drodze do miasta. - Bywam na lotnisku i Polaków zawsze rozpoznaję bezbłędnie: tylko oni, w całym tłumie podróżnych, mają ten głupawy, rozanielony uśmiech...

Milczącego mężczyznę z wernisazu spotkała przypadkiem: następnego ranka, w Ogrodach Watykańskich, po mszy odprawionej przez Papieża. Zabrał ją tam znajomy ksiądz. Myśl o "Oknach" rozpraszała Celinę tak bardzo, że nie mogła się skupić na modlitwie. Pamiętała słowa ojca - "on się nie modli, on rozmawia z nim, jak Żydzi, którzy się nie wstydzili Boga", ale stała daleko i widziała tylko drzewa, niewielką figurę Miriam wśród drzew, pod którą stał ołtarz, i szybko zmieniające się światło wczesnego słońca. Dopiero po mszy, kiedy wszyscy już ustawiali się do zdjęć, nawołując się i spierając o miejsca - zobaczyła poprzez tłum plecy klęczącego jeszcze Papieża. Samotne, przygarbione, jakby zespolone z klęcznikiem. Błagalne - pomyślała Celina.

Stali już w jakiejś grupie. Papież zbliżył się i zobaczyła mężczyznę z wernisazu. Klęczał i próbował ucałować białą sutannę. Zrobiło jej się wstyd, miała ochotę coś mu później powiedzieć, ale go zgubiła z oczu.

Mimo wszystko wprost z Ogródów pojechała na przedmieście, gdzie - jak dowiedział się właściciel galerii - mieszkała kobieta z torbą, znana w Rzymie tłumaczka polskiej poezji. Znalazła ją w nowym bloku, nad Tybrem, i nawet znalazła torbę "Polski len", tyle że nie było w niej żadnego zdjęcia. Była szarlotka, którą tłumaczka poezji wypieka dla pewnej cukierni, kiedy przychodzi termin spłacenia raty za mieszkanie. Chciała nawet Celinie dać przepis; Celina zrobiła jej zdjęcie i pomogła wynieść do samochodu ukryte przed sąsiadami w "Polskim lnie" blachy z ciastem.

Po powrocie (w domu panował spokój, Julka pochwaliła ją za Nordiki i zgańła za zbyt drogi sweter dla dziecka) poszła do ojca Pauli.

- Kto mógł ukraść, jak myślisz?

- Skąd mogę wiedzieć - zdziwił się ojciec i Celina zrozumiała, dlaczego pyta właśnie jego: w końcu człowiek w berecie, znający Witolda z lasów sosnowych, powinien rozumieć lepiej pewne rzeczy. Co prawda берет był już jarmułką, ale wiedza o "pewnych rzeczach" pozostaje.

- Gdybyś ty był na ich miejscu... - zaczęła, ale zreflektowała się. Człowieka, który ma siedemdziesiąt dziewięć lat i słabe płuca, nie należy denerwować niczym.

(Była ciekawa, czy Paula wie, co robił po wojnie jej ojciec. Chętnie spytałaby i Janusza: "Czy wiesz, że Paula jest córką człowieka, który prowadził Witolda przez las w pięćdziesiątym roku?" Albo - precyzyjniej - "Czy myślisz, że istnieje gen prowadzenia człowieka przez las?")

Czas teraźniejszy książki rozpoczął się, jak pamiętamy, w czwartek, trzydziestego pierwszego maja, po ósmej parę minut. Ona szła podwórkami Muranowa w stronę sądu, on, imieniem A., siedł obok.

Dostała kartonik z nadrukiem "Sąd Wojewódzki w Warszawie Sprawa M. Wysockiego i innych...", prokurator przeczytał akt oskarżenia zaczynający się od słów "Jedenastego maja 1983

roku Grzegorz Przymek przystąpił do matury...", na sali sądowej minęła ją kobieta w dżinsowej, za obszernej kurtce.

Zaniosła ojcu Pauli curantyl.

Powiedziała lekarce, że jest w ciąży. Podała dokładną datę; wie, kiedy "to" się stało, nie mieli w końcu z A. zbyt wielu okazji.

Rzuciła palenie, pije mleko i z trudem powściąga mdłości. Mimo to chodzi do solarium.

Codziennie robi jedno zdjęcie, poza tym zapisuje, co słyhać "tu, u nas". Niczego sensownego ze światem nie da się zrobić i tak, więc przynajmniej należy go ująć w słowa, w ramkę filmu, w cokolwiek.

Dla zarobku fotografuje czaszki w Zakładzie Antropologii. Przestała sobie wyobrażać, kim były za życia, natomiast zaczęła obmyślać dla nich makijaż. Trwa to od kiedy obejrzała ponownie zdjęcia Leni Riefenstahl, przedstawiające ludzi z plemienia Nuba. Ich twarze, ozdobione rysunkami, przypominają obrazy Paula Klee lub ceramikę Picassa, ale na niektórych nie ma ornamentów, jest tylko czarna farba. Pokrywa okolicę ust, albo oczu, albo jedno oko z policzkiem, uchem, aż do brody... Wygląda to jak całun, którym chce się coś zasłonić. Podobno rysunki na twarzach ludzi z plemienia Nuba nie tylko zdobią, lecz i zawiadamiają - o świętach, o wydarzeniach rodzinnych, o ważnym, o smutnym, ciekawe więc, co ci ludzie zasłaniają czarną farbą, radość czy smutek. Celina uważa, że radość jest bardziej intymna. Ale może strach, wstyd?

- Powinniśmy przejąć ich zwyczaj - mówi do A. - Ja na przykład namalowałabym sobie czekanie. Co byłoby kłopotliwe: wszystko inne można zlokalizować, wstyd w okolicach ust, strach - oczu, ale czeka się wszystkim, całą powierzchnią skóry. To jak to pomalować?

Proces trwa czwarty tydzień. Zeznawali już sanitariusze oskarżeni o zadanie śmiertelnego ciosu Grzegorzowi Przymekowi (w pogotowiu, pod windą) i lekarze, którzy opowiedzieli jak wyglądał jego brzuch. Biegle orzekli, że przed wejściem do komisariatu Przymek był zdrowy, a opuścił go chory. Nie sposób tej choroby wyjaśnić "bez incydentów urazowych w komisariacie".

Milicjanci wyjaśniają, dlaczego zabrali Przymeka z pLacu Zamkowego: był boso, a do tego miał brudne nogi.

...- Nie był bity, nie było takiej potrzeby. Przyczyną był sam fakt, że bez butów, bez skarpet znalazł się na PLacu Zamkowym i jakieś okrzyki niezrozumiałe... Po prostu jeden przez drugiego był niesiony. Żeby po prostu był normalnie ubrany, w butach, to byśmy nie wzywali pogotowia...

...- Według grafiku miałem przerwę. Siedziałem przy stoliku. Przyprawdzili dwóch mężczyzn. Jeden bez butów usiadł na krześle. Kościuk poprosił go o dowód. Ten rzucił się na Kościuka i chciał mu wyrwać pałkę. Jażem się odwrócił, wzięliśmy go pod ręce i posadziliśmy. Potem zachowywał się już spokojnie i ja skończyłem rozpisywać grafik.

Jeszcze lekarz; miał dyżur, pierwszy badał Przemyska na oddziale:

...- Pacjent był przytomny i logicznie odpowiadał. Był w stanie wstrząsu, nie można było wyczuć tętna. Na pytanie, co się stało, powiedział, że został pobity przez milicję. Spytałem jak. Powiedział, że pięścią w brzuch. Spytałem, w jakiej pozycji był bity. Powiedział, że w pozycji pionowej, a potem stracił przytomność. Wdrożyliśmy intensywne leczenie, które nie przyniosło skutków...

Adwokat głównego oskarżonego, M. Wysockiego, kierowcy karetki pogotowia:

...- Karetka przyjeżdża do komisariatu po młodego człowieka. Nie może wyjść sam, prowadzą go. W pogotowiu czekają pod windą, trwa to kilkanaście sekund. Tylko te sekundy interesują obronę, ponieważ akt oskarżenia zarzuca Wysockiemu, że właśnie wtedy zadał leżącemu Przemyskowi cios śmiertelny. Aby od jednego ciosu mogły powstać śmiertelne obrażenia, powinny być spełnione dwa warunki, tak mówili biegli. Usztywnienie tułowia, a następnie jego odrzut przynajmniej o metr. Pod windą te warunki nie były spełnione. Więc dlaczego Przemysk osunął się pod windą na podłogę? Bo obrażenia śmiertelne zadano mu wcześniej.

Milicjanci mówili, że Przemysk powiedział im - "niedużo czasu wam już zostało". Brzydko bardzo mówić tak do funkcjonariuszy milicji, ale to mogło ich zdenerwować. A co mogło zdenerwować Wysockiego? Nic. Ciosy śmiertelne nie były zadane przez Wysockiego.

Grzegorz Przemysk już nigdy nie stanie przed sądem. Ale przed śmiercią rozmawiał z wieloma osobami. Byli to obcy ludzie - lekarze, pielęgniarki, salowa. Nikomu z nich o pogotowiu nie wspominał. Czy salowej, która go bierze za rękę i pyta - "chłopcze, kto cię tak urządził?" - nie pożałoby się, że pobili go na pogotowiu? Czy to możliwe, że przez cały czas obciążał ludzi niewinnych?

A co mówił Grzegorz Przemysk, jest w aktach, które leżą na stole, przed sądem.

Dlaczego Celina musi być na procesie? Ponieważ zapisuje? Ponieważ Barbara Sadowska wzięła coś na siebie i za nią? (Do umierania za nią na krzyżu nie upoważniła nikogo, a Barbara S. wzięła na siebie... i tak dalej).

Ale jest coś jeszcze.

Ni mniej ni więcej:

Celina ma nadzieję na sprawiedliwy wyrok.

No i po co jej? Po co w ogóle wyrok, skoro nie ma Grzesia? (Ze swoim wyrokiem którego nie rozumiem czuam przy Tobie potykam się pamiętam mój brat Hiob znosi mi do domu brukowe wycinki poklepuje mnie w sądzie mój syn Grześ nie ma dla was nigdy twarzy waszych dzieci ze swoim wyrokiem którego nie rozumiem czuam przy tobie...)

Istnieje w świecie porządek, którego się nie narusza - mówi Celina. Nie jest to porządek żywych. Pewnych rzeczy nie robi się - dziecku, człowiekowi, którego kochasz i ludziom, którzy odeszli. Tak uważa jeden mój znajomy. Ci, którzy odeszli, to dla niego i ludzie z Babiego Jaru i z Katynia - zauważ, mówił mi, zabijanie ma swój ulubiony pejzaż: piach, jar, rzadki las sosnowy - to także węglarz, spalony na stosie inkwizycji, którego popioły nosił w woreczku na piersi jego syn, i chłopiec, którego dzinsową kurtkę nosi jego matka. Pewnych rzeczy im się nie robi, uważa mój znajomy - powtarza Celina. I dodaje: - Którego nie znasz.

Nie może spać. Wsłuchuje się w swój brzuch. Męczy ją oczekiwanie i chyba zacznie je malować na twarzy czarną farbą. Jak ludzie z plemienia Nuba - wyjaśnia, kiedy lekarka przenosi na nią uważne spojrzenie z nad jej ud. - I coś muszę sprostować. To trwa dłużej...

- Nic nie jest powiększone ani miękkie - lekarka ściąga gumowe rękawiczki i podstawia pod kran duże, energiczne ręce. - Uczucie w tym wieku... - uśmiecha się rześko z nad umywalki. - Nadzwyczajne. Jak słoneczny promień w smudze cienia...

- Cień? To moje nieprzeżyte jeszcze, więc młodość raczej, nie cień...

Na co lekarka bierze długopis i rysuje wykres hormonu zwanego estrogenem w życiu kobiety.

- Bo jeżeli chodzi o hormony, to są dwa, progesteron, matki, i estrogen, kochanki. I poziom estrogenu najwyższy jest między czterdziestym i pięćdziesiątym rokiem życia, o tak... Bardzo dobrze, że ta miłość teraz jest, bo nam zapewni testosteron. Progesteron natomiast będzie pani brała po jednym zastrzyku...

Celino, pytam, jak wygląda znajomy, który uważa, że pewnych rzeczy nie robi się umarłym?

Nie wiem, odpowiada. Pokazywał mi swoją fotografię, ale było to stare zdjęcie. Teraz wygląda inaczej, ale sam nie wie jak. Gdyby rozgarnął wszystkie te zapuszczone wąsy, włosy, brody, zobaczyłby nieznaną sobie twarz. Czy to nie zabawne: nie znać swojej obecnej, prawdziwej twarzy?

Twój znajomy czyta dziwne lektury - mówię. Co za pomysł, reagować na De Costera z równą siłą, co na Babi Jar...

Zgadza się: - Mnie też to zastanawia. A jest tam jeszcze rzeź Melijczyków, plemion helweckich, Ormian... Słowem - dzieje ludzkości, jako antologia wyrzynania. Lubi cytować zdanie Kotta z książki o tragedii greckiej, ale nie umie go na pamięć. Już parę razy mu przepisywałam i zawsze zostawiał gdzieś, z piżamą i papierami. Czy możliwe, by tak krótki tekst: "Umarli nie chcą ciągle umrzeć do końca, ich ostatnim pokarmem są jeszcze żywi. Następne pokolenia mają zadośćuczynić żądaniom zmarłych, sens nadać ich klęsce i przywrócić sprawiedliwość światu. Ale

ta mediacja przez czas i przez historię kończy się w tragedii tylko nowymi trupami, które zalegają scenę. Umarli zjadają żywych..." - by tak krótki tekst nie mieścił się w podręcznej torbie? Później przysłała mi list: "...cytatu nie mam i twojego listu nie mam. Treść tego cytatu ciągle mam w głowie. Towarzyszy mi wszędzie podobnie jak ty sama. To jakoś zrosło się. To trwa wciąż jest we mnie..."

Celino, mówię, przytaczasz czyjeś listy, mieszasz dwa porządki, fikcji i życia. W dodatku robisz to niedorzecznie. Stwórca, jak wiesz, pozostawił cię niezakończoną. Może spieszył się gdzieś, do prac pilniejszych, i nawet miał zamiar do ciebie wrócić, ale zapomniał...? albo może wrócił na moment, tylko mu się znudziło? Stwórca nie znosi nudy, jestem pewna. Miałas do Niego słuszny żal o to roztargnienie... I dopiero profesor A., tak, on, na łąkach nad Makratem, na pięterku w Victorii, zawiadomił cię o twoich udach i twoich zdjęciach. Było tak?

Celina milczy.

Uwierzyłaś mu - i wreszcie zaczęły mieć jakiś sens te zdjęcia i te uda. W twoim życiu Celino, nie ma miejsca na nikogo, poza profesorem A.

Potwierdza skinieniem: dzięki A. byłam gotowa na wszystko, co mi zostało dane. Co jest takie, jak zawsze miało być... Znasz to uczucie, prawda? Niezbędność każdego gestu, nagłej pewności, którą przyjmujesz z niedowierzaniem: jest tak, jak miało być zawsze...

Czy nie przyszło ci do głowy, że to jest współczucie?, pytam.

Dziwi się.

Dla ciebie, tak. Krótkowzrocznej, znikąd nie wracającej nad ranem, która obdarzyła swoją córkę dziedziczną niechcianością i nie oderwałaś od ziemi swoich kormoranów. Sporo musiał ogarnąć twój znajomy swoim współczującym, niezbędnym gestem.

Swoją dobrocią - odpowiada spokojnie. Jakaś litość dla nas ludzi, jakaś czułość, i po prostu dobroć, droga Ygrek Zet... Znowu zacytowała kogoś, Miłosza bodaj.

A nie pomyślałaś, że obdarza swoją dobrocią nie tylko dla ciebie? Ileż zalekzionych łączniczek krąży po świecie, ile smutnych, nienakochanych żon, ile nieszczęsnych, a jakże dzielnych dziewczyn... Jest równie czuły dla nich wszystkich, jakby czułością mógł unieważnić niegodziwości świata. I równie silny, jakby chciał uwolnić je i od dzielności i od lęku.

Przecież wiem, odpowiada Celina. Ale też, dzięki profesorowi A., już rozumiem, czym jest talent. Nadmiar talentu nie może być niczyją własnością, w kochaniu także. Z wdzięczności, że jest, należy się nim dzielić z innymi. Szkoda by go dla mnie jednej, jak opowiadania "Froim Gracz", albo obrazu "Dama z jednorożcem" - K.: jego wasy, jego dobroć, jego tyrady, wygłaszane



przy stole z jedzeniem w ustach i podziękowałam Stwórcy. Dziękuję - mówiłam Mu - że mnie stwarzając, nie skorzystałeś z pośrednictwa autorów książek.)

Profesor A. patrzy z uśmiechem na wzruszenie, z jakim opowiada mu o jednoroźcach - ich wizerunki z różnych epok oglądała niedawno, zaskoczona, w jakimś albumie. - Jest biały i nieuchwytny - mówi - z niebieskimi, smutnymi oczami, a tak zwinny, że nie może go dogonić żadne zwierzę... - Pierwsza wzmianka o jednoroźcu - wtrąca A. - pochodzi z czwartego wieku przed Chrystusem. Pisał o nim Ktesjas, grecki lekarz na dworze Kserksesa. Tego samego, który kazał wychłostać cieśninę Hellespont, gdy burza zerwała most. Przyjechali słudzy i wymierzili morzu pięćset batów za nieposłuszeństwo... Celina myśli, że jeszcze niedawno ta historia wprowadziłaby ją w zachwyt, a dziś niecierpliwi, bo niepotrzebnie oddała od jednoroźca, który przegląda się w lusterku. Dama trzyma je w ręku, on biały, próżny, patrzy z zachwytem na samego siebie. A kiedy już dopadli go i wloką - mówi dalej - przytrzymując włóczniami wbitymi w ciało, wcale nie jest poniżony, tylko smutny... - Książęta mazowieccy - znów wtrąca A. - nadawali przywilej polowania w swoich lasach na wszystkie zwierzęta z wyjątkiem tygrysów i jednoroźców. Exceptis tigrides et unicornes... - Miałam ochotę wyrwać jej to lusterko z rąk - mówi Celina. - Chociaż już wiem, że powinnam dzielić się z innymi...

To wszystko mogło się przecież zdarzyć. Celinie należało się trochę czułości i siły.

Jest mi żal, że się nie zdarzyło. Bo jednak wiem - ja jedna - co zdarzyło się jej naprawdę.

Mimo żalu muszę o tym przypomnieć.

To ja włożyłam ci na palec pierścionek z turkusami, prezent z Tbilisi od A., tkaninę zawiesiłam z dwiema smutnymi postaciami...

...skarpe dałaś, uśmiecha się Celina, sny, ludzi i trochę przedmiotów. I dość. Od was obojga. Jestem zakończona. Ale nie odpowiedziałaś. Czy znasz uczucie nagłej pewności, którą przyjmujesz z niedowierzaniem: tak miało być zawsze...?

Wokół Julki zaczyna się kręcić jakiś Włoch. Ma na imię Gulio, czterdzieści lat i hotel w Dolomitach. Celina nawet lubiłaby go, gdyby nie śmiech, jakim zaczyna się śmiać już w połowie pierwszej butelki. I gdyby nie niebieskie sznury żył, które mu wtedy nabrzmiewają na szyi, jakby to w nich śmiech wzbierał, nim wybuchnie wśród czerwonych garnków kuchni Celiny. Gulio wyjeżdża, ale nadchodzi prospekt: z błękitnym niebem, błękitnym jeziorem Carezza i białymi, ośnieżonymi pasmami gór, które widać podwójnie, bo na tle nieba i w jeziorze. Na jednym ze zboczy czerwonym flamastrem zaznaczone jest miejsce, w którym stoi Gulia hotel. Julka przywozi Celinie ów prospekt razem z Kubusiem, kiedy idzie do notariusza po tłumaczenie swojego dyplomu i indeksu.

Celina nabiera pewności, że to Gulio ukradł w Rzymie zdjęcie, bo spodobała mu się Julka w oknie. Następnie dowiedział się adresu i przyjechał. I jeśli ich dziecko i wnuk wyjadą na zawsze, to będzie przez nią. Janusz ją uspokaja, po pierwsze Gulia przysłał do Julki Paweł, po drugie obojgu z dzieckiem nie dadzą przecież paszportów. Celinę to przekonuje, ale odzywa się niepokój o "Okna". Już wie nieodwołalnie: chodziło o Witolda jednak.

Któregoś ranka zadzwonią zatem do drzwi. To będzie o szóstej. Witold podejdzie do wizjera, pewny że sen, bo widać Celina zapomniała odmówić "Zdrowaškę", wyjrzy na korytarz i zobaczy dwóch mundurowych i cywila. Skasuje informacje w swoim japońskim, elektronicznym notesie Casio P\$ i otworzy drzwi. Będzie miał poczucie, że cywila z przetłuszczonym lokiem na czole i z wylupiastymi oczami gdzieś widział. Kiedy jeden z mundurowych powie "Nie radzę panu uciekać", pomyśli, że i to słyszał kiedyś...

Celina zastanawia się, czy to się zdarzy o szóstej.

Jeśli tak, mężczyzna z przetłuszczonym lokiem i w różowej koszuli przybędzie do snu Witolda K. Kim może być człowiek, przybywający do snu, który staje się realnością?

Gdyby był człowiekiem, przyszedłby o siódmej. Może i chciałby wcześniej, ale zaspalby, zapewne przez budzik, od dawna by pamiętał, że jest uszkodzony, ale wiadomo, jak jest z budzikami na naszym rynku... Słowem zaspalby, wstał nie o piątej, jak zamierzał, tylko o szóstej trzydzieści i dzwoniłby do drzwi po siódmej. Wtedy byłby człowiekiem: cywilem, który przychodzi po Witolda K.

Ale jeśli dzwoni o szóstej, jak przez wszystkie sny, do czasu, gdy Celina zaczęła molestować Miriam swoimi "Zdrowaškami", to kim jest?

Przeznaczenie w różowej koszuli? - dziwi się profesor A., ale się zgadza, że przeznaczenie może przyjść we wszystkim.

A cóż dopiero...

"Hej, jesteś tam?"

Na skarpie zmienił się krajobraz tego lata. Zauważyliśmy to dopiero jak zazieleniły się olchy. Tak podrosły przez rok, że zasłoniły łąkę i liście łopianu widzimy już tylko w przesmyku między drzewami.

Hej, słuchasz?

Chciałam cię spytać o coś.

Czy ty czekasz cierpliwie? "Jak żebrak, który stoi w milczeniu bez ruchu przed kimś, kto może dać mu kawałek chleba?" To z Simone Weil.

"Czas to czekanie Boga, który żebrze o naszą miłość..."

Posłuchaj: czas to czekanie...

Czy w twoim czasie, u ciebie, umiesz czekać?

"Pokora w czekaniu czyni nas podobnymi do Boga. Bóg jest dobrem. Dlatego stoi w miejscu i czeka w milczeniu. Każdy, kto posuwa się naprzód, albo mówi, używa w pewnym stopniu siły. Dobro, które jest samym dobrem, może tylko stać bez ruchu..."

Czy milczysz i stoisz bez ruchu?

"Pokora to zgoda na czekanie. Oczekiwaniem jest sztuka. Oczekiwaniem jest natchnienie".

Hej, tam, u ciebie...

Czy czekasz w ciszy, pokorze, bezruchu i zgodzie na czekanie?"

Siedzi na ganku, na skarpie.

Miło tu: lato się zaczęło, a powietrze już miękkie i szczelnie przylega do skóry ciepłym wieczorem. Fachowiec, sprowadzony z Młynarzy, kopie studnię. Znad "Le Monde" obserwuje pracę fachowca ojciec Pauli. Ona, na ganku, czyta w przerwach między "Myślami" angielską powieść. Od czasu do czasu streszcza kolejny rozdział swoim sąsiadom - Simone Weil mniej się nadaje do rozmów na działce.

Kopanie studni wprowadza pewne napięcie: osiemnasty krąg w ziemi, a wody nie ma. - Co idzie? - woła od czasu do czasu ojciec Pauli. - Piasek - odkrzykuje z dołu studniarz. - To zaraz pójdzie żwir - obiecuje niezmiennie, już od dwóch kręgów ojciec Pauli i rzeczywiście, na dziewiętnastym kręgu żwir się pojawia. - A widzi pan! - ojciec Pauli zrywa się z leżaka i staje nad otworem. - Zaraz ten żwir będzie mokry, a później mokry i zimny, a później... - Panie starszy - traci cierpliwość fachowiec. - Pan myśli może, że to jest moja pierwsza studnia? Ale kiedy ojciec Pauli bierze garstkę żwiru i lekko, delikatnie przyklepuje dłonią, aż na płaskim krążku pojawiają się kropelki wody, fachowiec zaczyna mu się przyglądać. - Jest! - triumfuje ojciec. - Widzicie? Już jest! Znał pan ten sposób? - zwraca się do studniarza - Bo u nas tak się sprawdzało. U nas: w Działoszycach, w Słomnikach, w Konieczmostach, w Miechowie... Wszystkie studnie dookoła mojego taty były... "...Służyły tym, którzy przyszli wczoraj, posłużą tym, którzy przyjdą jutro..." - cytuje kogoś ojciec Pauli, pewnie chasyda jakiegoś albo mnicha.

Ja...? - powtarza pytanie fachowca z Młynarzy.

E, nie. Ja miałem później inne sprawy.

Milknie i wraca do "Le Monde".

Olchy zasłoniły łąkę tego roku, za to pojawili się w dole doskonale widoczni dwaj rybacy. Jeden wyprostowany, w pobliżu drzewa, drugi pochylony lekko, obaj na niewysokim, piaszczystym wzniesieniu tuż nad wodą. Stali tak, nieporuszeni, pierwszego dnia aż do wieczora, a nazajutrz zajęli miejsca chyba przed świtem, bo byli już, kiedy Celina wyszła rano do ogródka. Pomyślała z zazdrością, że osiągnę doskonałość w cierpliwym, nieporuszonej czekaniu, ale

trzeciego dnia ktoś powiedział, że to jałowce. Nigdy ich nie było w tym miejscu, też pewnie urosły przez ostatni rok. Mimo że już wszystko się wyjaśniło, Celina nadal patrzy co jakiś czas w ich stronę. Wczoraj jeden jakby zbierał się do odejścia, ale dziś stoją obaj i chyba bliżej siebie. Celina przynosi aparat i myśli, że bez zdjęć skarpa, Narew i las nie miałyby żadnego sensu. Po co las, który przez cały dzień jest ciemnozieloną ścianą za rzeką, a tylko przez kilkanaście minut, o wschodzie, kiedy słońce oświetla go pod jakimś szczególnym kątem, wyjawia prawdziwe kolory falujących kurtyn; po co ci dwaj, udający jałowce; po co wszystko jeśli nie żeby być zapisanym. Skarpa, której nie zapisuje się, jest bezużyteczna. W dodatku jest jedną z tysięcy skarp. Dopiero opisana staje się Tą, niepowtarzalnie jedyną. Celina rozumie naturalnie, że skarpa może istnieć i po to, bo tylko patrzeć na nią, ale strasznie jej żal wszystkich, którzy tylko patrzą.

Celina ma zwyczaj opowiadania każdemu o najważniejszym. Kiedy pani Ela, sąsiadka z pobliskiego gospodarstwa, podcięta trochę po wczorajszym półlitrze, przychodzi z rana po sodę, Celina natychmiast zawiadamia ją o bezsensie niezapisanego świata. No ojejciu pani Celinko, śmieje się sąsiadka z zakłopotaniem, no pani Celinka to już naprawdę... I odchodzi chwiejąc się lekko, ze swoją sodą, a Celina patrzy na nią ze strasznym współczuciem, bo i po co w ogóle jest, skoro nie zapisuje.

Czyta angielską powieść, jak mówiłam. Jest to rzecz Fay Weldon pod tytułem "The Life and Loves of a She-Devil", o kobiecie olbrzymce z trzema włosami wyrastającymi z brodawki na podbródku, która postanawia się zemścić na swoim mężu i jego słodkiej, filigranowej kochance. Po zniszczeniu obojga poddaje się operacji plastycznej, sama staje się filigranowa i słodka...

W tym miejscu Celina idzie z książką do sąsiada, którym jest głównym inżynier niewielkiego zakładu metalowego, i jego żony, urzędniczki od spraw socjalnych. Inżynier ów, kiedy zaczął się stan wojenny, pozyskał ludzi dla myśli, że najważniejsze ze wszystkiego jest ich dobro: trzystu sześćdziesięciu ludzi w niewielkim zakładzie. To jest sprawa wymierna, mówił im, i na pewno w porządku. Nawet konspiratorów z "Solidarności" dla tej idei pozyskał i odniósł zwycięstwo tak zupełne, że w żadną rocznicę nie zapalają już świec, nie gaszą, nie drukują, nie kolportują, nie nakleją i nie piszą na murach. Tyle że główny inżynier przychodzi niekiedy do Celiny i mówi: - Czy aby nie przesadziłem w moim zupełnym zwycięstwie? Albo nic nie mówi, mruknie najwyżej: - Dno, że i po piwie szczać się nie chce - i trzeźwieje w milczeniu.

W takich chwilach Celina zaczyna go pocieszać: - Nie zamartwiaj się, zawsze jeszcze możesz wziąć którejś nocy wiadro z farbą i napisać na murze wszystko, co potrzeba.

Do niego zatem, do głównego inżyniera, i jego żony idzie Celina i mówi: - Słuchajcie, filigranowa umiera! Męża wypuszczają z więzienia na jej pogrzeb, na pogrzebie widzi dawną żonę,

która też jest już filigranowa, pyta, czy przypadkiem nie jest tamtą i strażnik musi mu przypomnieć, że na tamtej pogrzebie się znajdują...

Sąsiedzi słuchają ze śmiechem, i Celina śmieje się, i jest jej miło, bo książka Fay Weldon i rozmowy z sąsiadami włączają ją w życie spokojne i normalne.

Dziwne, smutne, śmiertelnie poważne sprawy są daleko i Celina zgadza się z dziennikarką: należałoby ich unikać.

W ogóle należy unikać ludzi dotkniętych smutkiem.

Mogliby trzymać się razem i rozmawiać o swoich poważnych sprawach: śmierciach, procesach, talonowych paczkach, prokuratorach którzy muszą dać na te paczki zgodę, ale zawsze trochę skreślają, a jeszcze więcej skreśla naczelnik więzienia, o przesłuchaniach i o tym jak na przesłuchaniu się zachować - najlepiej nie mówić nic, bo oni nic nie wiedzą...

Niech już tak rozmawiają sobie, normalni zaś niech się trzymają najwyżej Fay Weldon i od tamtych możliwie z daleka.

...Wyrok w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Sąd, w składzie tu obecnym, po rozpatrzeniu sprawy M. Wysockiego i innych, uznaje Michała Wysockiego i Jacka Szyzdka za winnych tego, że jako pracownicy Pogotowia... i skazuje Wysockiego na dwa lata, Szyzdka na jeden rok i sześć miesięcy pozbawienia wolności.

Ireneusza Kościuka i Arkadiusza Denkiewicza, oskarżonych o to, że na terenie osiemnastego komisariatu MO wzięli udział w pobiciu Grzegorza Przemyka, postanawia uniewinnić...

Sądowi przedstawiono dwie wersje wydarzeń w komisariacie, świadka Filozofa i funkcjonariuszy MO. Zeznania Filozofa nie mogą być podstawą... i nie ma żadnych możliwości rozpoznania osób. Żadna z osób, będących w komisariacie, nie została rozpoznana jako ta, która miała brać udział w biciu Przemyka.

"Hej, jesteś tam?"

Tu, u nas, zapadł wyrok. Sąd opuścił salę, woźny otworzył drzwi, wszyscy wyszli na korytarz. Stanęliśmy przed pustą salą 252. Nie rozmawialiśmy, nawet ci dobrze zbudowani mężczyźni, którzy przez cały czas zajmowali ławy pod oknem, stali w milczeniu: miałam wrażenie, że tym razem milczę prywatnie.

Strażnik chwilę przyglądał się nam, po czym powiedział łagodnym, wyrozumiałym głosem:

- Proszę państwa. Sprawa jest zakończona.

Staliśmy dalej, chyba byliśmy ogłuszeni. Chyba nie tylko ja czekałam na sprawiedliwy wyrok...

Wartownik podszedł i powiedział głośno tym razem:

- Sprawa zakończona. Na co państwo jeszcze czekacie?

Wtedy ruszyliśmy do wyjścia.

Pomyśleć tylko: czekałam na wyrok.

Czyżbym miała nadzieję, że sędzia wie to samo, co Witold K.? Ale sędzia, widać, nie był nigdy prowadzony w stronę rozlewisk. Ani nie zastanawiał się, czy wszystkie zamki otworzą się przed nim w drodze powrotnej. Ani nie zbierał kości w Treblince. A skoro tego wszystkiego nie doświadczył, skąd miał wiedzieć o rzeczach, których nie robi się umarłym?

Idąc z tłumem nie kończącymi się korytarzami sądu, pomyślałam, że doświadczenia Witolda łączą się jakoś z przestrzenią. Za każdym razem szedł: przez piach przez korytarze więzienne, przez betonowe płyty pomnika. Jak gdyby kolejne kroki przybliżały go do najważniejszej konkluzji. Może więc sędzia nie przemierzył w swoim życiu dostatecznej, czy też właściwej przestrzeni?

Zastanawiałam się, czy ludzie, z którymi idę, wiedzą to, co ja: że to jest ważna śmierć.

Profesor A. przypomniał mi pięciu poległych sprzed powstania styczniowego. Też wydawali się ważni, a dziś nie pamiętamy ich nazwisk.

Nie rozumiem jeszcze, skąd wiem, ale wiem na pewno: ta śmierć, bezkarna, dziecka Barbary Sadowskiej okaże się bardzo ważna".

"Hej, jesteś tam?

Tu, u nas, kończy się lato. Na skarpie, rankiem, płaty, mgły ale w domu, w kuchni, pełno słońca.

Julka z Kubusiem wyjechali na zawsze. W sobotę, lotem numer trzysta trzynaście. Kubuś pożegnał się ze mną z roztargnieniem, bo absorbowala go taśma przesuująca się z bagażami na lotnisku. Wróciliśmy z Jnauszem do domu i usiedliśmy do śniadania. Położyłam na naszych czerwonych talerzach po kawałku białego sera. Wygląda to naprawdę ładnie: czerwony talerz - biały ser - czerwony krążek papryki. Zwykle zaczynam od podziękowań - za to, że jest wczesny ranek, że obudziłam się, za połączenie kolorów na sosnowym stole, za to, że jutro znów będzie ranek... Ale w sobotę zaniedbałam zwykłej wdzięczności".

"Hej, słuchasz?

O tym wszystkim mówiłam pani, która pisze książkę.

Prosiłam, żeby wymyśliła coś. Powinno się teraz coś stać, prawda?

Powiedziała: masz czerwone talerze, znałaś, jak twierdzisz, Witolda K., którego zresztą nie zobaczysz prędko. Julka napisze do ciebie serdeczny, jak nigdy, list, profesor A. zadzwoni po powrocie z Wiednia... To na co państwo jeszcze czekacie?

\$~a propos. Czy czekasz w ciszy, bezruchu, pokorze i zgodzie na czekanie? - spytała, chociaż dobrze wie, że czekam hałaśliwie i zachłannie.

Wiesz co? - powiedziała po chwili. - Weź aparat i sfotografuj śniadanie na czerwonych talerzach. No, to płaty mgły. No, to brzuch. Tak, swój brzuch sfotografuj. Podobno są takie japońskie wzierniki, cienkie metalowe węże z okiem, które wsuwa się do brzcha. Zorientuj się, powiedziała, czy w oku takiego węża nie zmieściłby się jakiś mały Olympus..."

"Hej, jesteś tam?

Słuchaj.

Coś ci powiem.

Ciebie nie ma.

Po ostatnim zastrzyku progesteronu sprawa wyjaśniła się ostatecznie: nie ma cię. I nie było nigdy.

Opowiadałam, co słyhać, tu, u nas, a ciebie nie było.

Niepotrzebnie opowiadałam. Nie przeczytasz tego - w twoim czasie, u ciebie, ponieważ nie będzie ani ciebie, ani twojego czasu.

Tylko ja jestem, tu, u nas. Ale już nie mam powodu zawiadamiania cię o czymkolwiek.

Dobry pomysł z tym wziernikiem.

Sfotografować brzuch, w którym cię nie było. W którym nigdy - czy rozumiesz to słowo dokładnie? - Nigdy - ciebie nie będzie.

Powiedziałam autorce: wymyśl coś. Coś powinno się stać. Jeszcze jest czas, prawda?

Nigdy nie byłam naznaczona. Życie nie wybierało mnie, to ja się czepiałam życia, które mnie odrzucało. Życie wybrało moją przyjaciółkę Paulę, nie mnie. Może dlatego, że życie lubi ludzi zakończonych. A Paula była dopracowana w każdym szczególe przez Tego, który w trakcie stwarzania właśnie mnie, poszedł sobie na lunch, albo do pilniejszej roboty, i już nie wrócił.

Sama przynałaś, że dzieło zostało dopełnione. Już wiem, już jestem gotowa. Jeszcze jest czas...

Mam pomysł - powiedziała autorka książki.

Sfotografuj jednoroźca".

Wielce Szanowna Pani!

Pisze do Pani człowiek, który musi wytłumaczyć się z tak nagannego czynu, jakim jest kradzież. Proszę mi wierzyć, to była jedyna kradzież, jakiej się dopuściłem w moim długim życiu. Jak się Pani domyśla, mówię o "Oknach". Pisze do Pani człowiek który ukradł z wystawy fotografię. Mam nadzieję, że jako artystce nie sprawiło to Pani przykrości i że była to strata niezbyt kłopotliwa do naprawienia.

Jest Pani pewnie ciekawa, dlaczego to zrobiłem. Otóż nie dla walorów artystycznych Pani utworu, chociaż zdjęcie obojgu z żoną bardzo nam się podobało. Powód jest inny, zdjęcie przedstawiało dom, w którym mieszkałem przez ćwierć wieku, od pierwszej wojny aż do powstania.

Sfotografowała Pani naszą kamienicę w mroku, ale zachowane w wielu wykuszach stare szyby z secesyjnym ornamentem na zwieńczeniach, nie pozostawiały wątpliwości. To był nasz dom. W rewanżu za sprawiony kłopot opowiem Pani o jego mieszkańcach, moich sąsiadach.

Pierwsze okno z lewej, na parterze. Mieszkał tam pan Stach. Jego żona była naszą dozorczynią, a pan Stach robił meble. Podczas okupacji przerzucił się na trumny i mawiał, że każda szanująca się rodzina powinna mieć swojego doktora i swojego stolarza.

Nad panem Stachem mieszkał zamożny ziemianin, który po pierwszej wojnie światowej przerzucił się na cukrownie i prowadził je z dużym powodzeniem. Niestety, nieszczęściem dla siebie i dla rodziny zaczął pisać wspomnienia z dzieciństwa. Najpierw przestał wyjeżdżać na urlop, bo szkoda mu było czasu, potrzebnego na pisanie, później przestał wychodzić w niedzielę na spacer, wreszcie zaniedbał interesy, a przed samą wojną mowa już była o rozwodzie, bo i żona przeszkadzała mu w skupieniu się na najważniejszym.

Cukrownik ów miał córki - bliźniaczki, wyrosnięte, senne dziewczyny z dużym biustem i grubymi nogami. Kochano się zawsze w obu naraz. Ostatnim wielbicielem był młody, utalentowany dziennikarz, który opowiadał mi w zaufaniu, że eksploatuje północ jednej, a południe drugiej z panien. Był ponoć na najlepszej drodze do poszerzania zdobytych terytoriów, kiedy dostał się do Oświęcimia, przez bliźniaczki zresztą, bo spiesząc na randkę zagapił się i nie zauważył obławy.

Dwa okna nad cukrownikiem mieszkaliśmy my, przeciętna urzędnicza rodzina, od pokoleń związana z bankowością, nic ciekawego. Kiedyś mieszkaliśmy tam, gdzie na pani zdjęciu stoi młoda osoba z dzieckiem, ale ojciec zamienił się mieszkaniem z sąsiadami, ponieważ pod naszym oknem rosła topola. Szumiała i, co gorsza, chwiała się, kiedy był wiatr, a moja matka przez całe życie bała się wiatru. Widok poruszającej się gałązki w parku przyprawiał ją o histerię, cóż dopiero chwiejąca się topola. Z początku drzewo było niewysokie i nie przeszkadzało matce, ale rosło szybko, aż wreszcie zbliżyło się do nas i wczesną jesienią trzydziestego dziewiątego roku topola zasłoniła okno. Matka zaczęła sypiać w wannie, nie ze strachu przed nalotami, tylko przed topolą. Kiedy zaczęły się łapanki i wysiedlenia, zadrećzała się myślą, że któregoś wieczoru przyjdą po nas, akurat będzie wiatr i jak ona wytłumaczy, że na taki wiatr nie może wyjść na ulicę. Wreszcie ojciec poprosił panią Zofię, sąsiadkę, której mąż, oficer, zginął w wypadku samochodowym tuż przed wojną, żeby zamieniła się z nami na mieszkanie. Sąsiadka zgodziła się, może dlatego, że była



niegdyś zaprzyjaźniona z moim ojcem. Jak Pani zauważyła, topoli już nie ma. Może ją ścięli na opał, może uschła. Ja osobiście byłem bardzo zadowolony z tej zamiany, ponieważ zamieszkaliśmy drzwi w drzwi z panną Inką - okno z prawej - wytworną, młodą osobą, znającą osobiście wszystkich poetów z Ziemiańskiej. Tak się złożyło, mniejsza o szczegóły, że razem, z jednej łapanki, dostaliśmy się na Pawiak. Mnie rodzina wyciągnęła za błękitny dywan perski, ona opowiedziała mi historię swojego wyjścia już po wojnie. Wprowadzono ją do gabinetu oficera SS. Kiedy weszła, stał twarzą do mapy Europy i wpinał chorągiewkę w okolicę Paryża. "Wzięliśmy Paryż", powiedział, nie odwracając się. Nie wiem, czy mówił do siebie, czy też rozpierała go taka radość, że musiał podzielić się z kimkolwiek, choćby z więźniarką. "Czy Francja kiedykolwiek wyzwoli się spod naszego panowania?" - dodał, a wtedy Inka powiedziała szybko: "Nie, nigdy". Niemiec odwrócił się od mapy i obejrzał Inkę z zaciekawieniem. Patrzył na mnie jak na śmieć, opowiadała mi, ale ja myślałam - trudno, niech patrzy, ja muszę się wydostać. "Gdzieżby taka Francja mogła pokonać wielkie Niemcy" - rozwinęła swoją myśl Inka. Niemiec uśmiechał się do niej, czerwonej jak burak, jakby chcąc nacieszyć się jej wstydem, w końcu powiedział - "może pani wyjść".

Inka jest nadal wytworna, mimo swoich siedemdziesięciu lat. Mieszka w Paryżu, ma francuskiego męża, młodszego o lat piętnaście i francuski paszport. Kiedy nasi działacze emigracyjni mówią jej z wielką powagą - "to trzeba będzie zabrać do kraju, pani Inko", Inka, która nie interesuje się polityką i którą śmiertelnie nudzi cała ta, jak się wyraża, martyrologiczna makulatura, przypomina sobie zdanie - "gdzieżby taka Francja mogła...", mówi - "Rozumiem, naturalnie..." i potulnie ładuje paczki do Peugeot.

Na drugim piętrze - okno z prawej - mieszkaliśmy, jak już mówiłem, najpierw my, a później sąsiadka, która z nami się zamieniła, pani Zofia, wdowa po oficerze. Mimo dużej różnicy wieku, byli sobie podobno bardzo bliscy - ona i mój ojciec, ale to jakieś dawne dzieje. Później ojciec zakochał się bez pamięci w mojej matce i nie wracał do kawalerskich wspomnień. Sąsiadka ta mieszkała z dzieckiem, niepozorną dziewczynką w okularach. Ukrywały u siebie dwie Żydówki, matkę z córką. Cała kamienica wiedziała o tym, chociaż sąsiadka była pewna, że nikt się nie domyśla. Starsza z Żydówek popadła w obłąd i śpiewała głośno arie z popularnych operetek, najchętniej z "Hrabiny Maricy". Wszyscy słyszeliśmy wieczorami jej śpiew i truchleliśmy ze strachu. Oddano w końcu tę nieszczęsną kobietę do domu wariatów, co z córką nie wiem, mówiono, że się uratowała, ale nie wierzę w to. Widziałem ją na schodach, jak szła ze Stachową, podobno po wizycie szmalcownika. Nie wyobraża sobie pani, jak piękne to było dziecko. Nie wierzę, że przeżyła, ładni ginęli zawsze w pierwszej kolejności.

Rozgadałem się, jak Pani widzi. Co Panią mogą obchodzić odległe sprawy cudzego domu, ale jest takie indyjskie przysłowie - jeśli biegnąc, zobaczysz starego człowieka, który chce ci coś powiedzieć, zatrzymaj się, to może być coś ważnego.

Dziękuję, że się Pani zatrzymała, chociaż niczego ważnego nie miałem do powiedzenia. Dziękuję za zdjęcie. Powiesiłem je nad łóżkiem. Ostatnio źle sypiam, zwłaszcza jak jest wiatr. Zapalam wtedy światło i patrzę w okna mojego domu. Mojego świata, z którego nieistnieniem nie mogę się pogodzić od czterdziestu pięciu lat.

Z poważaniem...

Rzym, 8 lipca 1984.

Czas teraźniejszy tej książki skończył się.

Celina, której fotografowanie szło coraz lepiej, dowiedziała się, co chciałaby sfotografować. Zwierzę, którego nie ma. Jednorożca.

Mogłaby namalować go, ale na naukę malowania już za późno.

Chętnie zawiadomiłaby o "za późno" kogoś, kto to przeczyta w swoim czasie, jakikolwiek to będzie czas, ale nikt nie przeczyta.

Na szczęście jest rzecz, którą Celina z pewnością zdąży zrobić.

Sweter.

Robi na drutach naprawdę nieźle i mogłaby ozdobić go jednorożcem. Wyjdzie podobny trochę do antylopy, trochę do jelenia, bo dość trudno nabrać tyle akurat oczek, ile potrzeba na zwierzę nieuchwytnie i próżne, za to sweter okaże się miękkki i ciepły; Janusz będzie mógł zjeżdżać w nim z Kasprowego w najgorszą pogodę.

Czy to mało?

Dobry, ciepły sweter na najgorszą pogodę?